Nr. 28. Poznań, niedziela 12-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.). w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Kolonizacya pruska przed sądem parlamentu.

Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni zapewne doczekała się pruska polityka wyraźnej odprawy ze strony parlamentu niemieckiego, i nie bez słuszności ktoś pono powiedział, że Niemcy stoją na straży konstytucyi. Prusy natomiast czyhają na jej zagładę. Najświeższe dzieje parlamentu niemieckiego stanowią ciekawy przyczynek do tej charakterystycznej prusko-niemieckiej kolizyi.

Wiadomo wszystkim, że ks. Bismarck zbudował z stumiljonowym nakładem wielką maszynę kolonizacyjną, przerabiającą polskie majątki ziemskie na patentowane parcele niemieckie, i jako integralną część tej maszyny ukuł prawo wyjątkowe, niedozwalające koloniście Niemcowi sprzedać Polakowi nabytej zagrody. Nowa reforma kodeksu cywilnego zmusiła Prusy do szukania u parlamentu niemieckiego sankcyi dla ustawy kolonizacyjnej i w tym celu rozwinięto starania, aby zbór przedstawicieli rzeszy niemieckiej pozostawił nietknięte pruskie prawo krajowe o kolonizacyi wschodnich prowincyi, wcielając je do kodeksu cywilnego w charakterze prawnych wyjątków z tej ogólnej zasady, która opiewa, że każdy obywatel rzeszy niemieckiej posiada zupełną swobodę rozporządzania dowolnie swoją własnością ziemską. Zdawało sie istotnie przez długi czas, że uda się rządowi pruskiemu narzucić wolę swoją reprezentantom rzeszy niemieckiej i skłonić parlament, by wzorem sejmu pruskiego obalił podstawową ideę konstytucyjną: Równe prawa dla wszystkich poddanych.

Wnioski Koła polskiego o skreślenie klauzuli, warującej w nowym kodeksie cywilnym ustawie kolonizacyjnej charakter wyjątkowego prawa krajowego, doznały tak w obradach komisyjnych jak na plenarnem posiedzeniu parlamentu w drugiem czytaniu stanowczej porażki, a charakterystycznym mianowicie jest fakt, że stronnictwo centrum wzbraniało się długo z względów utylitarnych udzielić Kołu polskiemu pomocy swojej. Dopiero bezpośrednio przed trzeciem czytaniem w parlamencie udało się ks. prałatowi Jażdżewskiemu i mecenasowi Dziembowskiemu z jednej, a posłowi Szmuli z drugiej strony, użyć takich argumentów dyplomatycznych, które zjednały nam wreszcie głosy wielkiej katolickiej partyi. Chwila obecna nie jest odpowiednią, aby odsłaniać zakulisowe tajniki parlamentu, — to jedno przecież dziś już powiedzieć możemy, że stronnictem centrum nie tyle kierowały względy humanitarne i konstytucyjne, ile stara, praktyczna „Interessenpolitik“ śp. Windhorsta. Nie wystarczało jednak w obec numerycznego stosunku stronnictw w parlamencie, wobec niepewnej, zmiennej, często zawodzącej liczby posłów głosujących, zawrzeć ciche, niespodziewane dla rządu przymierze z partyą katolicką, lecz należało wynaleźć taką formę dla polskiego wniosku, aby nie budzić czujności w partyach rządowych i nie nęcić na arenę parlamentarną w krytycznej chwili całej zszeregowanej, zaniepokojonej opozycyi. W tym celu za inicyatywą posłów szambelana Cegielskiego i Czarlińskiego postanowiono unikać dłuższych polemicznych dyskusyi i zadowolić się prostym wnioskiem, by na dwie części rozdzielić głosowanie nad paragrafem, zastrzegającym charakter prawa krajowego dla ustawy a) o włościach rentowych, b) o dobrach kolonizacyjnych. Taktyka ta okazała się skuteczną. Postanowiono głosować nad każdą częścią z osobna, — pierwsza zwyciężyła, drugą parlament odrzucił, wcielając tem samem ustawę kolonizacyjną do ogólnych przepisów kodeksu cywilnego, czyli kasując klauzulę, mocą której kolonista Niemiec nie może swej zagrody sprzedać Polakowi. Stronnictwo konserwatywne i narodowo-liberalne nie stawiło się w komplecie, natomiast socyaliści, wolnomyślni i centrum, w poważnej zgromadzone liczbie, po naszej myśli głosy swoje oddali. Zrazu większość zdawała się niepewną i marszałek Buol (centrum) zawyrokował nawet na korzyść partyi rządowych. Gdy jednak na życzenie posłów polskich zarządzono głosowanie powtórne, okazało się dowodnie, że większość parlamentu oświadczyła się przeciw klauzuli, warującej ustawie kolonizacyjnej charakter wyjątkowy.

Rezultatem tego niespodziewanego przebiegu sprawy była na razie ogólna konsternacya stronnictw rządowych, nazajutrz jednak pojawiły się w kilku pismach zachowawczych, w wolnomyślnej „Freisinniege Ztg.“ i katolickiej „Germanii“ artykuły, obniżające wartość realną zwycięztwa naszego. Równocześnie z tryumfalnemi artykułami polskich dzienników odezwały się głosy niemieckie. wskazujące rządowi pruskiemu środki i drogi, prowadzące wbrew poniesionej klęsce do zamierzonego celu. Zwrócono mianowicie uwagę na ustawodawstwo rentowe, które zatrzymało nadal charakter prawa krajowego, i podniesiono z naciskiem, że rząd zamienić je może w drugą edycyą ustawy kolonizacyjnej, wprowadzając do niego warunek, że nabywcom włości rentowych nie wolno sprzedawać ich Polakowi. Ponieważ zaś komisya kolonizacyjna od lat kilku parceluje w samej rzeczy dobra swoje w charakterze włości rentowych, ponieważ dalej rząd pruski liczyć może w sejmie na niewątpliwe poparcie wszelkich germanizacyjnych dążności, a prawo o włościach rentowych należy według najświeższej uchwały parlamentu do prawodawstwa krajowego, zatem nic łatwiejszego, zdaniem czasopism niemieckich, jak klęskę poniesioną w parlamencie powetować w sejmie.

Takie głosy odzywają się coraz częściej w przeróżnych organach prasy niemieckiej, — nam się jednak wydaje, że mimo jaskrawej bezwzględności, właściwej polityce pruskiej, rząd nie odważy się takim adwokackim fortelem przewrócić uchwały parlamentu. Wybieg powyżej scharakteryzowany byłby policzkiem wymierzonym pruską ręką rzeszy niemieckiej i sprzeciwiałby się tej myśli przewodniej, która spowodowała skreślenie klauzuli o dobrach kolonizacyjnych. Z rozpraw komisyjnych wypływa bowiem jasno, że usunięcie wyjątkowego charakteru ustawy kolonizacyjnej ma niewątpliwie ogólny charakter pozytywny, innemi słowy, że nie mówi ono jedynie: „Koloniście Niemcowi nie wolno dóbr swoich Polakowi sprzedawać“, lecz głosi zasadę: „Każdemu obywatelowi państwa niemieckiego bez wyjątku przysługuje prawo dowolnego rozporządzania swoją własnością ziemską.“ Jeżeli parlament pozostawił prawodawstwo krajowe o włościach rentowych nietknięte, to uczynił to jedynie z tego powodu, że w dotychczasowej swej formie nie sprzeciwia się ono podstawowej zasadzie kodeksu cywilnego, że nie ogranicza swobody obywatelskiej w kwestyi rozporządzania własnością ziemską. Nie ulega też najmniejszej

wątpliwości, że gdyby prawodawstwo rentowe w chwili głosowania miało ten sam wyjątkowy charakter, co ustawa kolonizacyjna, to parlament byłby mu równy los zgotował jak skasowanej klauzuli. Jest to prosty i żelazny postulat logiki.

Zważyć zresztą wypada, że prawo niemieckie stoi ponad pruskiem, czyli *że w razie kolizyi prawa krajowego z prawem rzeszy sąd zawyrokować musi na korzyść ostatniego.* Takie przypadki nieraz się zdarzały i ewentualna transfiguracya ustawy kolonizacyjnej w prawo o włościach rentowych byłaby z natury rzeczy pozbawioną jurydycznego uzasadnienia, *budując sztucznie taką ustawę pruską, która sprzeoiwia się prawodawstwu rzeszy.*

Względy powyższe przemawiają przeciw przypuszczeniu, że rząd na drodze przez pisma niemieckie wskazanej dążyć będzie do obejścia uchwały parlamentu i przepisów kodeksu cywilnego. Gdyby jednak stary duch Bismarckowski miał pokusić się o tak bezprzykładne podeptanie prawa i konstytucyi, to nie wątpimy ani jednej chwili, że parlament znajdzie dość siły i odwagi, by założyć hamulec pruskiemu absolutyzmowi i zaświadczyć głośno przed Europą, że ponad Prusami stoi Rzesza niemiecka.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Niemczyzna w Galicyi. W „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

„Polaka, który z zaboru rosyjskiego lub z Poznania pierwszy raz przyjeżdża do Galicyi i żywi błogą nadzieję, że wpadnie tu, „jak w centrum polszczyzny, gdzie się człowiek nałyka, nadysze ojczyzny“, ogarnia niemiłe zdziwienie, kiedy wciąż słyszy język niemiecki na kolei, w rozmowach na ulicy i w miejscach publicznych, kiedy widzi w kawiarniach mnóstwo pism niemieckich, a w restauracyach nawet spisy potraw po niemiecku drukowane. Poznawszy bliżej stosunki miejscowe, znaleść może mnóstwo dowodów dziwnej pobłażliwości, a nawet uprzejmej życzliwości dla niemczyzny. Są w Galicyi miasta i miasteczka powierzchownie na wpół zniemczone, zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie przeważną część ludności miejskiej stanowią żydzi, lub na pograniczu Szląska. Biała np. jest miastem niemieckiem; chociaż Polacy stanowią większą część ludności, język niemiecki panuje tam wszechwładnie. Władze krajowe tolerują ten stan rzeczy, społeczeństwo energicznie przeciw niemu nie protestuje, nie domaga się zmiany, i jakby uznając swoje upośledzenie, składa ofiary dobrowolne na szkołę polską, która powinna tam istnieć na koszt miasta. W Brodach język niemiecki jest w użyciu powszechnem, nawet w izbie handlowej, i teraz dopiero zajść ma zmiana na lepsze. W Galicyi mamy 125 szkół niemieckich, oprócz 3 szkół dla dzieci wojskowych, nawet we Lwowie jest gimnazyum niemieckie, a w szkołach ludowych miejskich dręczą niemczyzną dzieci, które, wbrew wszelkim zasadom pedagogii, uczyć się tu muszą aż trzech języków. Słowem język i w ogóle żywioł niemiecki zajmuje w Galicyi stanowisko, ktore mu się nie należy, a społeczeństwo znosi pobłażliwie takie stosunki i nie przeciwdziała im wcale.

Nie zadawala to jednak narodowców niemieckich i niedawno „Deutsche Zeitung“ zamieściła artykuł o zaniku i prześladowaniu niemczyzny w Galicyi. Dziennik wiedeński zwraca szczególną uwagę na położenie kolonistów, osiedlonych w ubiegłym wieku, którzy zachowali poczucie niemieckie i których obojętni rodacy oddają dziś jakoby na „pastwę szlachcicom“.

Nie warto odpowiadać na skargi ani zbijać kłamliwych twierdzeń organu narodowców niemieckich, ale należy nam samym zastanowić się nad wpływem i znaczeniem niemczyzny w Galicyi, bo sprawa nie jest tak błahą, jak wielu ludzi, nie wnikając w nią głębiej, sądzi.

Niemców mamy w Galicyi około 230,000 czyli zaledwie $3^1/_2\%$ ogółu mieszkańców. Nie może być więc mowy o takiem bezpośredniem niebezpieczeństwie, jakie grozi np. kresom naszym w zaborze pruskim lub nawet na Szląsku austryackim. To tłomaczy naszą obojętność i pobłażliwość, ale jej nie usprawiedliwia, bo skutki pośrednie uprzywilejowanego stanowiska niemczyzny w Galicyi są dosyć ważne i należy zwrócić na nie baczną uwagę.

Tolerowanie języka niemieckiego w stosunkach publicznych i prywatnych wywiera wpływ demoralizujący na Polaków w zaborze rosyjskim i pruskim. Ogół ich nie zdaje sobie sprawy z tych pobudek, które na postępowanie społeczeństwa galicyjskiego wpływają, ale wiedząc tylko o tem, że ma ona zapewnioną swobodę rozwoju narodowego, uważać musi takie stanowisko języka państwowego za fakt naturalny, konieczny.

Nie wiemy, ile przychodzi do Galicyi pism niemieckich, ale w każdej prawie kawiarni jest ich dwa razy więcej niż polskich. Klasy inteligentne prenumerują i czytają sporo pism niemieckich, i to jest jedną z przyczyn, dla czego w Galicyi pisma literackie, zwłaszcza pisma ilustrowane utrzymać się nie mogą. Znieprawia to umysłowość naszą, osłabia samodzielność ducha narodowego i wytwarza coraz częstszy typ mieszańca, który uważa się za Polaka i mówi po polsku, ale ze sposobu myślenia, z upodobań i uczuć jest Niemcem.

Mamy w Galicyi możność rozwoju narodowego, powinniśmy więc tu starać się przedewszystkiem o usuwanie skutków zgubnych okaleczenia indywidualności narodowej, spowodowanego podziałem kraju i pozbawieniem narodu samodzielności politycznej. Jeżeli warunki życia państwowego utrudniają nam nieraz wytwarzanie instytucyi odrębnych, właściwościom i potrzebom narodu odpowiadających, to tembardziej w drobnych nawet szczegółach należy im nadawać charakter polski. Nie dosyć, że Polacy zajmują urzędy, te urzędy powinny być polskie. Dotychczas, jak wiadomo, język niemiecki utrzymuje się jeszcze na kolejach państwowych, w zarządzie poczt i telegrafów itd.

Panowanie języka niemieckiego w wojsku ma być, jak twierdzą, koniecznem ze wzgldu na jednolitość siły zbrojnej. Nie będziemy poruszali tej sprawy, zaznaczamy tylko, że trudno zrozumieć zbawienny wpływ na sprawność i dzielność wojska komendy niemieckiej, której żołnierz nie rozumie i której w kilka lat po wyjściu ze służby zapomina. W celu zapewnienia tej wątpliwej jednolitości wielu oficerów Polaków służyć musi w pułkach niemieckich, a natomiast do pułków galicyjskich przysyłani są oficerowie Niemcy. Wprawdzie każdy oficer powinien

---

Waryat czy nie waryat?

— Oto jeden z nich!... patrz pan — rzekł mi intern, oprowadzający mnie po ogrodzie.

Który?... Ten pan?...

— Tak, panie, ten pan... Zabił on kobietę, panią de Balnerte... Mówiono, że to była jego kochanka — ale nie można za to zaręczyć. Naturalnie, przysięgał się na wszystkie świętości, że waryatem nie jest. Ale było to tak widoczne, że został uniewinniony i zamknięto go tutaj... Siedzi przeszło od dwóch miesięcy... Porozmawiaj pan z nim, zabawi pana. Wszystko co mówi ma sens, oprócz tego jedynie co ciągle powtarza... że nie jest waryatem...

— A czy pan jesteś zupełnie pewny, że to jest waryat?... — zapytałem z pewnym niepokojem.

— O!... jak najzupełniej!... Zresztą wszyscy zabójcy są waryaci. — Wszyscy nadzwyczajni jednem słowem. Ci, których umysł jest w równowadze, zajmują się spokojnie swojemi interesami i nie uważają za potrzebne, puszczać się na niebezpieczne awantury... Jak tylko jakiś osobnik ludzkiego rodu poświęca dla jakiejś idei swój instynkt samozachowawczy, to odrazu można powiedzieć na pewno, że jest waryatem!... Prosta rzecz!...

— Naturalnie! — odparłem coraz bardziej zaniepokojony i niepewny.

Zbliżyliśmy się do przedmiotu naszej rozmowy. Intern przedstawił nas sobie wzajem z pewnym odcieniem ironii i wyższości, jaką mu nadawało przekonanie, że należy do tych osobników ludzkiego rodu, u których instynkt samozachowawczy jest nienaruszony i dominujący.

Potem oddalił się, tłomacząc się zajęciami zawodowemi i pozostawił nas — mnie i waryata — samym sobie.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, z głową zbyt dużą w stosunku do swego ciała — dziwnie zasłaną włosami bardzo jasnemi. W czub ten wciskały się promienie słoneczne, tworząc mu nad głową jakąś złotą niby aureolę. Z rysów jego nie zostało mi w pamięci nic, oprócz jego oczów, koloru wody, szarych, zielonych lub niebieskich naprzemiany.

Po kilku słowach wymienionych o pogodzie, o kwiatach jakie do koła rosły, zamilkliśmy, jakoś dziwnie naraz obaj zaambarasowani. I zacząłem już myśleć o tem, w jakiby sposób rozstać się z tym jegomością, gdy nagle odezwał się on do mnie w te słowa:

— Opowiedziano pewno panu moją historyę... co?... Czy pan jesteś doktorem?...

— Nie, nie jestem doktorem — odpowiedziałem śpiesznie.

— Ale pan jesteś przekonany, że ja jestem waryat!... bo jakże by było inaczej?

— Boże jedyny... — odpowiedziałem z wahaniem — waryacya jest to stan tak trudny do określenia...

— ...Że pan nie jesteś zupełnie pewny czy przypadkiem sam nie jesteś waryatem... nieprawdaż?... — zauważył z jakimś śmiechem suchym.

— Tak... właśnie.

— Otóż, widzisz pan, ja jestem jak najmocniej przekonany, że jestem przy zdrowych zmysłach... I posłuchaj pan... opowiem panu moją historyę... Opowiadałem już dwom czy trzem osobom, które wydawały mi się inteligentnemi... ale nie zrozumiały z tego nic... i pan pewno też nic nie zrozumiesz... Ale mniejsza o to, to mi zrobi przyjemność... bywają chwile, w których musze o tem mówić... Powiedziano pewno panu, że zabiłem kobietę... Wytłomaczę więc panu dla czego ją zabiłem i, dla czego zabiłbym ją jeszcze raz, gdyby się też same okoliczności powtórzyć mogły... Widzisz pan pewno sam z łatwością, że jestem człowiekiem przyzwoitym, lepszego tonu. Niegdyś w świecie byłem tem co się nazywa szykowny chłopiec. Miałem majątek, nie jestem głupszy, niż wielu innych, ale nigdy nie robiłem nic, chociaż miałem zdolności do wszystkiego... Ale miałem zawsze wstręt do wszelkiego wysiłku... a przytem zanadto się ubiegałem za kobietami... Miałem kochanki!... Nie wyobrazisz pan sobie jakie mnóstwo!... Zmieniałem często... bo widzisz pan... miłość, jeśli ma być zawsze piękna, musi być krótka. A przytem najlepszą chwilą jest może ta, w której człowiek czuje, że się to już kończy...

znać „Regimentssprache“, tj. język ludności, z której się rekrutują żołnierze pułku, ale ta znajomość jest często bardzo powierzchowna. Wojsko, właściwie oficerowie, są główne podporą niemczyzny w Galicyi. O usposobieniu ich świadczą takie fakty, jak n. p. wypisanie się z kasyna w Tarnopolu z powodu, że korespondencya klubu prowadzona była w języku polskim. W delegacyach poseł polski, pan Popowski, przedstawia zwykle sprawozdanie z budżetu ministeryum wojny, ale przy tej sposobności nie porusza nigdy stosunku armii do kraju, który, dając pieniądze na wojsko, może tyle przynajmniej wymagać, żeby nie szkodziło ono uprawnionym jego dążeniom i interesom narodowym, nie ubliżało jego uczuciom“.

* * *

P o r a ż k a k o m i s y i k o l o n i z a c y j n e j. W sprawie wiadomej uchwały parlamentu niemieckiego, znoszącej wyjątkowy charakter ustawy kolonizacyjnej, taką wypowiada opinię „Orędownik“ w nr. 151:

„Chodzi teraz o to, czy uchwała parlamentu będzie miała dla nas Polaków praktyczne znaczenia, czy też jest tylko moralnem zadowoleniem. Naszem zdaniem o praktycznem znaczeniu nie ma wcale mowy. Z kilku stron w kołach niemieckich tłómaczono sobie początkowo, że uchwała parlamentu niemieckiego zniesie całkiem pruskie antipolskie prawo kolonizacyjne. Tak jednak nie jest, tyczy ona tylko niektórych przepisòw ustawy kolonizacyjnej, a mianowicie, o ile one mają charakter prawa wyjątkowego przeciw Polakom. Ale ponieważ — jak zauważa berlińska „Germania“ — kodeks cywilny nie narusza przepisów o włościach rentowych, to w praktyce w prawie kolonizacyjnem nie wiele co się zmieni. W razie bowiem potrzeby skorzysta rząd pruski z swego prawa o gospodarstwach rentowych, a że przepisy o prawie kolonizacyjnem zaliczać wolno także do przepisów o gospodarstwach rentowych, więc jak nie prawem kolonizacynem, to prawem o gospodarstwach rentowych bedzie rząd mógł bić Polaków, nie kijem go, ale pałką!

Wielkiego praktycznege znaczenia dla nas Polaków nie będzie więc miała uchwała parlamentu niemieckiego. A jeżeli uchwałę tę nazwaliśmy „ważną uchwałą“, to tylko dla tego, że parlament niemiecki — to najważniejsza reprezentacya narodu niemieckiego — potępiła w tym wypadku autipolską politykę pruską. To jest bądź co bądź fakt, z którym się rząd pruski w zasadzie liczyć musi. Ale trudno pojąć, że „Dziennik Poz.“ i „Kuryer“ podnoszą za to pod niebiosa naszych posłów polskich i widzą w nich zaraz jakąś nadzwyczajną mądrość polityczną. Przecież rzecz jest prosta i jasna. Posłowie nasi nie mogli głosować za kolonizacyjną ustawę antipolską, bo o zniesienie tej ustawy domagają się już od lat dawnych w sejmie pruskim. A że w sejmie pruskim mają większość żywioły, wrogie Polakom, więc też w sejmie posłowie nasi nic wskórać nie mogą. Inna atoli rzecz jest w parlamencie niemieckim, i gdyby parlament dekretował o prawach antipolskich, to byłoby całkiem inaczej. Że parlament powziął taką uchwałę, to nie tyle zasługa posłów polskich, ile w ogóle s k ł a d u parlamentu niemieckiego. Rzecz trzeba zawsze prosto po imieniu nazwać — nie przesadzać!

...Usunięcie ustępu tyczącego Komisyi kolonizacyjnej z nowego kodeksu cywilnego jest niewątpliwie wielką klęską dla polityki Komisyi kolonizacyjnej, jak i moralna porażką dla rządu pruskiego. Rząd pruski widocznie nie znajduje w Niemczech i w parlamencie dostatecznego poparcia dla swej antipolskiej polityki.

„Dziennik Pozn.“ widzi już w przyszłości, jak chłop polski będzie wykupywał zagrody wydzielone kolonistom niemieckim skutkiem sukcesu, jaki Koło polskie w parlamencie zdobyło. Sukcesu nie zaprzeczamy, jest on istotnie wielki, a nawet nie spodziewany przy znanych hałasach Hakatystów. Ale od sukcesu w parlamencie — do wykupywania niemieckich kolonistów przez chłopów polskich droga jeszcze bardzo daleka i byłoby znowu błędem z naszej strony, żebyśmy nasze nadzieje i — złudzenia też — opierali na redakcyjnych zmianach tego lub owego paragrafu.

Zastrzeżenie, że nie wolno Polakowi nabywać parcel od Kolonizacyi, ani koloniście sprzedawać parcel Polakowi straci w Rzeszy swe p r a w n e znaczenie, ale przez to nie straci jeszcze e k o n o m i c z n e g o znaczenia w dzielnicach polskich.

Komisya Kolonizacyjna nie zostanie przez ten „sukces“ Koła zniesioną; może nim być krępowaną, ale jeszcze znaleść środki, by dochodzić do celu swego. I rząd pruski nie odstąpi też od swej tendencyi i swego systemu. Jeżeli w parlamencie z strony rządu wykazywano, że skreślenie ustępu odnoszącego się do Kolonizacyi uniemożliwi jej działanie, to oczywiście tylko dla tego, żeby rząd pruski zasłonić przed moralną porażką, bo zresztą i przy nowym kodeksie cywilnym będzie rząd pruski miał jesze wiele prawnych sposobów do dopięcia swego celu.

LITERATURA I SZTUKA.

Uwagi o „Quo vadis“.

(C i ą g d a l s z y).

Odosobnienie Chrześcian posunięte jest do tego stopnia, że tłum wielbicieli Chrystusa, oddany na pożarcie dzikim zwierzętom, odcięty jest jakoś zupełnie od tego mnogiego zbiorowiska widzów, którzy obsiedli wyższe i niższe ławki amfiteatru. Czyż żaden z męczenników nie miał tam choćby jednego krewnego lub znajomego? Czy ci zamodleni — wszyscy byli przybyszami lub pochodzili wyłącznie z warstwy niewolników? Są oni całkiem obcy Rzymowi, nietylko duchowo, ale i fizycznie i Rzymianie oprócz niewyraźnego podziwu, nic innego doznać nie mogą na widok tych bezbronnych ludzi, z wyrazem błogości i zachwytu na twarzy, dających się szarpać i męczyć....

Takie jest ogólne wrażenie. Ze wspólnego tła wyrazistością rysów indywidualnych wydobywa się jedynie postać Kryspa, który jest kapłanem religii miłości i przebaczenia, lecz na którego twarzy osiadł wyraz surowości i grozy. Zupełnie konsekwentnie do charakteru jego przystaje owo przemówienie z krzyża do Nerona. Tylko ten srogi człowiek, nie mający litości ni dla siebie, ni dla innych, mógł w obliczu śmierci mieć tyle przytomności umysłu, tyle hartu, by rzucić w twarz swemu prześladowcy słowa, ciężkie jak ołów, raniące jak noże. Inni przywoływali całą siłę ekstazy, by nie widzieć swych katów i narzędzi tortur, nie doznawać bólu, by się wpatrywać w zstępujące już na ich spotkanie chóry aniołów. ust ich dosłyszymy szept modlitwy, nie przekleństwa....

Ale oprócz tej jedynej postaci Kryspa nie ma innej, która byłaby zarysowana mocniej i wydatniej. Sylwetki apostołów Piotra

---

Doznałeś pan kiedy tej rozkoszy?... co?... A przytem jakie to upojenie cudowne, ta rozpacz kobiety, którą się porzuca!... Ach!... upojeń tych doświadczyłem wiele!... Żal mi ich więcej, niż wielu innych — ale powróćmy do tej historyi ostatniej... nie chcę pana nudzić zbyt długo.

Spotkałem tę kobietę, jedyną, przez którą cierpiałem... spotkałem ją w jakimś salonie. Nie mogę zapomnieć tego momentu, kiedy oczy moje padły na nią po raz pierwszy. Wszedłem właśnie do salonu, uścisnąłem ręce kilku przyjaciół, — gdy pani domu rzekła do mnie:

— Chodź-no pan, przedstawię panu panią de Balnerte, której podasz ramię, gdy będziemy szli do stołu.

Doprawdy, niema na świecie w ogólności nic głupszego nad te banalne frazesy, w których się przecież mieści nieraz cała fatalność przyszłych losów człowieka.

Stała oparta o kominek, wysoka i wyniosła. W chwili, gdym przed nią stanął, wymawiała te wyrazy do jakiegoś mężczyzny, również, jak ona, o kominek opartego:

— „Strach?... o! nie!... nigdy w życiu nie bałam się niczego!...“

I uczułem się, jakby wyzwany przez te wyrazy, jak gdyby obrażony przez nie!.. Nie cierpię kobiet, które się nie boją, kobiet, które mają duszę surową, które umieją chcieć i którym się zdaje, że myślą. To są potwory!... Trzebaby je pozabijać, tak jak ja zabiłem tę jedną!

Gdym ją prowadził do sali jadalnej, nienawidziłem jej nad wszelki wyraz. A przecież, gdy podczas obiadu i później wieczorem rozmawiałem z nią dłużej, poczułem, że nie będę już w stanie obyć się bez jej widoku!... Była dowcipna bardzo, tym dowcipem ostrym, gryzącym, który drwi ze wszystkiego. Wyrażała się ciągle twierdząco i stanowczo, jakby gardziła wszelką inną opinią, wszelkiem innem zdaniem i dyskutowała twierdzenia swoje do ostateczności, z pozorem logiki nieprzepartej. Chciała mieć zawsze racyę w każdej rzeczy. I po pewnym czasie rozmowy z nią, ten, kto jej słuchał, doznawał wrażenia jakiegoś zawrotu mózgowego, paraliżującego umysł i odbierającego możność dowiedzenia jej, że się myli...

Nazajutrz rzuciłem kartę w jej przedpokoju. Potem poszedłem złożyć jej wizytę w dniu jej przyjęcia potem zaprosiła mnie na swoje wieczory i bardzo prędko zaliczałem się już do jej najbliższego otoczenia. Powiedziałem jej zaraz, że ją kocham... Drwiła sobie ze mnie, ale było coś tak silnego w uczuciu pożądania i wściekłości, jaki we mnie budziła, że bardzo prędko drwić przestała.

Przez całe sześć miesięcy trwała pomiędzy nami walka prawie okrutna. Nigdy ani razu jednego nie złapałem jej na jakiemś nerwowem osłabieniu, na jakiejś z tych serca miękkości, jakie się wydarzają kobietom najuczciwszym. Zawsze była wyniosła, dumna i samowolna... Panowała nademną ohydnie!... posłuszny jej byłem, jak zwierzę bezmyślne!... Bałem jej się czasem... i nienawidziłem jej... Nie wiem, w jaki sposób mógłbym pana przekonać, jak dalece można nienawidzieć kobietę, która się niczego nie boi, — kobietę, która chce, — kobietę, bez której życie wydaje się człowiekowi niemożliwem...

W takiej chwili powinienbym był zwaryować, gdybym miał zwaryować kiedykolwiek. Spędzaliśmy ze sobą godziny i godziny całe. Mówiła o wszystkiem tak, jak gdyby nad wszystko była wyższa, silniejsza nad okoliczności, jednem słowem niezwyciężona... Czy pan rozumiesz dobrze znaczenie wyrazu: „niezwyciężona!?“

Gdyśmy byli sami, czasem, chwytałem ją nagle w ramiona i chciałem pocałować... Nie uwierzyłbyś pan nigdy, jak bardzo była silna... silniejsza odemnie, wyobraź pan sobie. Jakie to śmieszne, nieprawdaż?... Była także wyższa niż ja, i miałem przy niej uczucie słabości, jakiegoś dziwnego tchórzostwa... Tak!... Tak, tak... byłem doprawdy śmieszny... bardzo śmieszny... Wiedziałem o tem!... A jednak nic mnie nie mogło oderwać od tej piekielnej istoty. Była w niej jakaś tajemnicza siła upajająca, którą tylko ja jeden odczuwać mogłem i czułem doskonale, że ona właśnie ma mi dać tę rozkosz najwyższą, jakiej nigdy nie zaznałem... Ale jaką miała być ta rozkosz... tego długo zrozumieć nie mogłem... I nareszcie zrozumiałem.... Muszę panu opowiedzieć jakim sposobem!...

Często jeździliśmy na spacer konno razem... Na koniu była istotnie nadzwyczaj-

i Pawła, zaznaczone barwami blademi, nie zajmują środkowego pola uwagi czytelnika. Paweł, zręczny sofista, wdający się w niezbyt skuteczne spory z subtelnym Petroniuszem, nie wygląda zupełnie na powtórnego, jak go zowią, założyciela chrześciaństwa. Piotr posiada bardziej określone oblicze duchowe, ale niezbyt podniosłe wrażenie sprawia jakąś płaczliwością swego tonu, chwiejnością swą, która zapewne była wyrazem wewnętrznej walki duchowej, ale ta nie została uwydatnioną należycie. Wogóle obaj apostołowie, jeżeli są otoczeni nimbem powagi nadzwyczajnej, to tylko dla tego, że musimy uwierzyć zapewnieniom autora. Nie czynią oni ani mówią nic takiego, żeby czytelnik sam przez się w ich słowach, ruchach, czynach dojrzał jakąś siłę wyższą nad zwykłą moc ludzką, która jedynie byłaby odpowiednią charakterowi i przeznaczeniu tych postaci: być środowiskiem i uosobieniem nowej wiary, jej wzmagającej się potęgi, jej tryumfów przyszłych, a już teraz widnych. Nieprzezwyciężone niemal trudności miał Sienkiewicz do zwalczenia, wprowadzając na widownię osoby apostołów, bo oczekiwania czytelników, zgodnie z wymaganiami samej rzeczy, są nastrojone na wysoką nutę. Ale też tych trudności autor w najmniejszym stopniu nie zdołał pokonać. Nie umiał on przejąć się tem tchnieniem entuzyazmu, który ogarnia tłumy w chwilach napięcia duchowego, nie porwał czytelnika na wyżyny egzaltacyi, dla tego może tak blado, tak nikle wyglądają postacie obu apostołów...

Tak się przedstawia społeczeństwo chrześciańskie samo w sobie. Działanie jego na zewnątrz, szerzenie „dobrej nowiny“ wśród świata pogańskiego odbywa się już poza widnokręgiem powieściowym. Paweł chrzci niewolników Winicyusza, widzimy jak klękają przed Piotrem żołnierze, ale to wszystko dzieje się w zbyt wielkiem od nas oddaleniu.... Mamy wszakże w utworze dwie sceny nawrócenia, więc widomego przykładu zwycięstwa nowej potęgi duchowej nad konającymi już bogami Olimpu grecko-rzymskiego i wschodniego. Mówię o chrzcie Winicyusza i o scenie z Chilonem wobec zdradą jego umęczonego Glauka. W ostatnim jednak wypadku mamy do czynienia ze zbyt wyjątkowemi okolicznościami, by mogły służyć za modłę ogólną. Scenę ową zawdzięczamy świetnej i niewyczerpanej wyobraźni pisarza, nie konieczności wypływającej z samej istoty stosunków między chrześcianami a poganami. Bądź co bądź, w szczegółach nie widzimy, jak się mógł odbyć tak wielki przełom w duszy Greka, nie wiele mającej w sobie pierwiastków lepszych, iż szpieg i zdrajca własnowolnie idzie na męki dla odpokutowania swej winy i zostaje ukrzyżowany pospołu z swemi ofiarami. Ale to wstrząśnienie nerwowe, którego doświadczył biedny dostojnik w amfiteatrze, to zakradające się do jego serca poczucie winy przygotowało już poniekąd czytelnika do możliwości czegoś nadzwyczajnego. To też scena między Glaukem a Chilonidesem nie zawiera w sobie oznak nieprawdopodobieństwa i należy do najsilniejszych scen w utworze, któremu nie zbywa na momentach wstrząsających.

Wypada nam jeszcze rozejrzeć się w szczegółach przewrotu duchowego, który przerodził Winicyusza. Sprawczynią tej tak potężnej zmiany była Ligia. Bliższe jej poznanie byłoby zatem rzeczą bardzo ciekawą; niestety, niepodobna nam uczynić zadość tej chęci, albowiem ukryła się nietylko przed zbyt natarczywym kochankiem, ale i przed czytelnikiem. Wprawdzie widzimy ją przez jakiś czas jako siostrę miłosierdzia, lecz tylko jako siostrę miłosierdzia. Duszy jej nie znamy, a czynny jej udział w powikłaniach powieściowych ogranicza się do skromnej roli — być celem krzyżujących się zabiegów ze strony przyjaciół i nieprzyjaciół. Jeżeli życzymy sobie, by oszczędziły ją spiętrzone zewsząd niebezpieczeństwa, od ludzi i żywiołów nawet (podczas pożaru), to chyba dla Winicyusza, nie dla niej samej, o tyle jest nam obcą, nieznaną.

Co do Winicyusza, nawrócenie jego mogło się stać mikrokosmem, w którym się odbić powinny całe dzieje przekształcenia się pogańskiej Romy na Rzym chrześciański. W jaki sposób to rozumiem? Oto np. w tej duszy jednostkowej mogły się z sobą spotkać z jednej strony: znużenie, spowodowane czczością życia, brakiem idealniejszych w nim pierwiastków, tęsknota do jakichś wyższych światów; z drugiej — słowo ewangielii, które przed myślą otwierało nowe widnokręgi, — sercu znużonemu nudą, niewiarą, przesytem, niosło ukojenie, — dla woli, pragnącej czynu, wskazywało jakiś cel, godny wysiłków i pracy. W ten czy inny podobny temu sposób powinien autor przedstawić wzniesienie się swego bohatera na wyższy stopień moralności, — uczynić je zależnym od pobudek, mających swe źródło w najgłębszej treści ducha, nie od okoliczności zewnętrznych, nie od mechanicznie i przypadkowo działających bodźców. Zobaczymy, jak się rzecz ma w rzeczywistości.

Najprzód uważmy, iż Winicyusz występuje w powieści najczęściej obok Petroniusza, i to towarzystwo nie zawsze wychodzi pierwszemu na dobre. Postać Petroniusza z pewnością jest o wiele oryginalniejszą, ciekawszą i plastyczniej się uwydatnia na ogólnem tle. Wybór środków, prowadzących ku odszukaniu i odzyskaniu Ligii zawsze należy do Petroniusza; Winicyusz nic sam wymyślić nie może i daje się powodować łatwo swemu starszemu przyjacielowi. Czynna tedy rola przypadła raczej wujowi niż siostrzeńcowi. Mimo to moralne tortury, które męczą Winicyusza, zyskują dlań współczucie czytelnika, i ten wraz z bohaterem niepokoi się o pomyślny wynik zabiegów, a zabiegi te, które się zamieniły w cały szereg efektownych scen, o wiele silniejsze sprawiają wrażenie, aniżeli przełom duchowy, który miał odmienić całą wewnętrzną istotę bohatera. W ogólnych zarysach oto przebieg zmian, zachodzących w odradzającem się sercu: Pożądanie Ligii pod wpływem różnych czynników przechodzi stopniowo w szlachetniejsze uczucie. Winicyusz zrozumiał wreszcie, że moralne przeszkody stanowią o wiele trudniejszą do przebycia tamę dla jego chęci, niż zewnętrzne okoliczności. To prowadzi go do wniknięcia w te przyczyny, które uczyniły Ligią tak niepodobną do znanego mu dobrze typu kobiet rzymskich. Ale czy to wystarczało do zupełnego odrodzenia? Może, lecz pisarz czytelnika upewnić o tem nie zdołał, mimo usiłowań w tym kierunku; samoanaliza Wini-

---

na!... Czuć było, że jest silniejsza niż zwierzę, które ją niesie i nad którem ona panuje dowolnie. Silniejsza!... Ona była zawsze silniejsza!... Otóż pewnego razu byliśmy w lasku, w małej alei wązkiej, w pełnym galopie, gdy w tem wprost przed nami o jakieś dwadzieścia metrów z za skrętą drogi ukazuje się powozik leciutki, ciągniony przez parę koni rozbieganych... W powoziku niema nikogo, na koźle niema woźnicy... Po obu stronach drogi ciągną się gęste krzaczki... Droga jest wązka, jak to już panu powiedziałem i materyalnie... niema miejsca na niej dosyć, abyśmy się mogli zmieścić razem; powozik ten i my... Niema czasu zawrócić... Pojmujesz pan sytuacyę... nieprawdaż?... No!... i wyobraź pan sobie co ona zrobiła... bez wahania, natychmiast!... Zwróciła swego konia nieco w skos drogi i w tej sekundzie, gdy rozbiegane konie powoziku wpaść na nią miały, stickiem swoim z szaloną siłą i szybkością palnęła je po łbach dwa razy... Konie rzucają się w bok, przewracają powozik, przewracają się same jeden na drugi, a ona tymczasem, już stoi spokojna, jakby się nic dziwnego nie stało.

Otóż widzisz pan... przez cały ten czas nie spuściłem z niej oka ani na jedno mgnienie... Nie zarumieniła się, ani nie zbladła... wykonała ten nieprawdopodobny manewr z całą pewnością siebie... z oczyma spokojnemi!...

Tak, to był ten moment, w którym zrozumiałem, czego mi potrzeba, bez czego żyć dłużej nie byłbym w stanie: trzeba mi było zobaczyć strach w tych oczach... To była ta rozkosz, której tylko ja jeden doznać sobie obiecywałem!... Teraz mnie pan musisz rozumieć... prawda?... co!?... Jakiż tedy mógł być sposób zobaczenia strachu w tych oczach ostrych i potężnych, w tych oczach, których spojrzenie, gdy na mnie padało, czyniło mnie słabym jak dziecko?... Zabić ją... nieprawdaż!?... To był tylko jeden sposób!... jedyny!...

. . . .

— Zobaczysz pan teraz — zaczął znowu po chwili — jak się to głupio skończyło. Pewnego wieczora zakradłem się do jej pokoju i schowałem się. Czekałem aż uśnie i wtedy przybliżyłem się do jej łóżka... Miałem ze sobą latarkę krytą, zamkniętą... Przypatrzyłem się jej śpiącej... Ach!... cóż to były za minuty!... Nie możesz pan sobie wyobrazić jak w takich chwilach człowiek czuje, że żyje!... Nakoniec otworzyłem latarkę... Została nagle oświetlona pełnym blaskiem... I ja także... Obudziła się i spojrzała na mnie... Wtedy rzekłem do niej:

— To ja!... Czy mnie poznajesz pani!?...

— Poznaję doskonale!... i proszę mi się wynosić z tąd w tej chwili!...

— Przyszedłem zabić panią!

Zauważ pan dobrze, kochany panie, że przez cały ten czas miała ciągle oczy zupełnie spokojne... Gdy wymówiłem te wyrazy, uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała:

— Ach!... gdybyś pan wiedział, jak dalece jesteś śmieszny!...

Wtedy utkwiłem jej nóż w piersi... Zapomniałem powiedzieć, że miałem ze sobą nóż... Ciało jej rzuciło się dwa czy trzy razy na łóżku i wszystko się skończyło!... I oczy jej, panie drogi... oczy jej pozostały otwarte... Wiesz pan przecie, że, jak wszyscy mówią, oczy zamordowanych zawsze wyrażają strach?... Otóż widzisz pan... w jej oczach został tylko gniew... i ten wyraz wyniosłości i pogardy, jaki miewała wtedy, gdy czasem kiedy ją chciałem pocałować mówiła: „n i e n a w i d z ę l u d z i ź l e w y c h o w a n y c h!“

I to jest cała historya... Zostałem tam do rana, ciągle mając nadzieję, że coś się zmieni w wyrazie tych oczu piekielnych... ale nic!... Nic!... Zaaresztowano mnie... powiedziano, że jestem waryat i zamknięto mnie tu... To mi wszystko jedno!... Ale nic... rozumiesz pan... nic pocieszyć mnie nie zdoła w tym żalu, że w tych oczach... nie widziałem strachu!... Ich już teraz niema... i nigdy, nigdy tego nie zobaczę!... Dla czego patrzysz pan na mnie takim wzrokiem dziwnym?... Ach! tak! i pan mnie masz za waryata... Głupiec!...

I krokiem szybkim zabójca oddalił się odemnie!...

J. Ricard.

cyusza nie udziela czytelnikowi ręki pomocnej. A nawet ta forma właśnie niby monologowa, mająca wydobyć na jaw stopniowe przeistoczenia się usposobień i wierzeń Winicyusza, nie wiem, czy jest szczęśliwą w zastosowaniu do niedbającego o subtelności żołnierza, który nie zwykł zbytnio zastanawiać się nad tem, co się wewnątrz jego duszy dzieje. Wogóle od ukazania się „Bez dogmatu“ monolog, najczęściej nieposuwający analizy o krok dalej, przechodzi u Sienkiewicza w manierę, która zresztą mniej przykre wrażenie sprawia w „Quo vadis“, aniżeli w „Rodzinie Połanieckich“.

Dotychczas, poddając rozbiorowi odosobnione składowe części utworu, mniej baczyliśmy na sposób ich współdziałania, na miejsce, które im wyznaczone zostało w ogólnym planie budowy. Teraz mieć będziemy na względzie ogólny układ wypadków powieściowych, i postaramy się odpowiadać na pytania, jaką rolę gra w tym układzie pierwiastek chrześciański?

Znowu odbiegnijmy myślą do Mirtali. I tam mamy obraz pogromu, którego przebieg wszakże jest o wiele łagodniejszy niż Sienkiewicza. Nocną napaść na dzielnicę żydowską wywołały poniekąd wystąpienie Jonatana w cyrku, ale samo to wystąpienie jest ze swej strony uwarunkowane przyczynami ogólniejszemi, a nadto odegrało ono tylko rolę iskry, która wpadła między nagromadzone masy materyałów wybuchowych.

Żydzi, słabsi, zachowują się biernie, inaczej nie mogą. Ale ich uczucia są również, a może nawet więcej zapalne, niż tej gawiedzi różnojęzycznej, która spadła na nich wraz z burzą i grzmotem. Potężne, spodem toczące się, a sprzeczne sobie prądy zwarły się wreszcie i wystrzeliły nad spokojną pozornie powierzchnią słupem wrzącej lawy.

Czy coś podobnego widzimy w stosunku wzajemnym wyznawców Chrystusa do pogańskiego Rzymu? Czy wykazał autor istnienie między obu temi żywiołami głębokich społecznych lub narodowych antagonizmów, które przykryte czas jakiś popiołem, rozpalić się mogły w pożogę, obejmującą cały widnokrąg dokoła? Nie. Chrześcianie zachowują się biernie wobec prześladowców, nie tylko wtedy, gdy już są wystawieni na męki. Jeszcze wówczas, gdy przyszli męczennicy tyle obchodzili Nerona, co zwiędłe liście, według wyrażenia Petroniusza, odpłacali mu oni wzajemnością, nie dbając ani o niego, ani o Rzym, który wiedział o nich tylko to, że są „sektą żydowską“. A i obecnie, nie są oni czynnikiem niezależnym i działającym, lecz kilkodniowemi ofiarami okrucieństwa tyrana, łupem dzikich zwierząt w cyrku, męczennikami na krzyżach przed gawiedzią, pochodniami żywemi w ogrodach Cezara, wogóle są wyłącznie i jedynie materyałem do scen jaskrawych i głęboko poruszających, o co autorowi przedewszystkiem chodziło. Prześladowanie spada na chrześcian z nienacka, niespodzianie; było ono następstwem szczególnego zbiegu okoliczności, chwilowego pokrzyżowania się wpływów przy dworze Nerona, wynikło z przesądu Poppei, jej żydowskich sympatyi, a przedewszystkiem z potrzeby zrzucenia na kogoś winę w sprawie podpalenia Rzymu. Wszystko to przypadkowe, od stosunku chrześcian do państwa i całego społeczeństwa rzymskiego niezależne. Inaczej by było, gdyby np. Krysp wystąpił publicznie z grzmiącym oskarżeniem przeciw „grzesznicy babilońskiej“, gdyby wołał, że pożar miasta jest widoczną oznaką ciężkiej prawicy pańskiej. Ten wyraz niechęci łatwo mógłby posłużyć za dowód dostateczny zbrodniczego udziału w podpaleniu, zwłaszcza wobec powszechnej nieznajomości ducha i zasad nowej wiary.

Tyle o ogólnem tle. Zejdźmy teraz na szczuplejsze, lecz bardziej zbliżone przed oczy czytelnika pole baśni powieściowej. Wiemy już, że losy bohaterów są połączone przyczynowo z wypadkami ogólniejszej natury. Otóż uzależnienie owo uczynione jest w sposób dość powierzchowny. Ujęcie Ligii nastąpiło tylko pod pozorem, że jest ona chrześcianką. Pierwotną pobudką była zazdrość Poppei, jej przesądne mniemanie, iż Ligia stała się przyczyną śmierci jej syna. Dla samego Nerona umęczenie Ligii było tylko okrutnym żartem, w którym miano na myśli raczej Winicyusza, niż Ligią. Wreszcie wchodzi w grę współzawodnictwo Tigellina z Petroniuszem. Ponieważ Petroniusz stawał w obronie Winicyusza, upokorzony przezeń Tigellin postanowił uczynić mu na złość... I dalej, całego zbiegu przypadkowych okoliczności trzeba było, by doprowadzić Ligię do amfiteatru, a doprowadzić nieskalaną przez zwierzęce chuci Nerona i jego wspólników. Więc ujęto Ligią, nim uprzedzony przez Petroniusza Winicyusz zdołał ukryć ją w bezpieczniejszem schronieniu. Gdy już wszystko było przygotowane do uwolnienia Ligii z murów więziennych, w ostatniej niemal chwili straże pretoryańskie zaciągają przed więzieniem warty. Uprowadzenie stało się niepodobieństwem. I w jednym i drugim przypadku różnica chwil kilku nadałaby zupełnie inny kierunek przebiegowi wydarzeń w utworze... Choroba Ligii zabezpiecza ją przed shańbieniem, ochrania ją przed przedwczesnem ze względu na zamiar autora wystawieniem jej w amfiteatrze, i wreszcie pociąga za sobą przeniesienie chorej do innego więzienia, a te przenosiny znowu wypadły właśnie o godzinę wcześniej niż się odbyć miało zupełnie już przygotowane wykradzenie dziewczyny z rąk siepaczy. Widzimy tedy, jak autor krok za krokiem piętrzy umyślne przeszkody na drodze Winicyusza, jak mu zawsze każe chybić przed uczynieniem ostatniego już, zdaje się, poruszenia, ostatniego wysiłku. Niespodziewany wynik walki między Lygem a Krotonem, mimo znamienia przypadkowości (bo i cóż ma wspólnego siła Lyga z chrześciańskiemi zasadami Ligii?) — znajduje jednak swe wytłomaczenie w chęci autora doprowadzenia Winicyusza do uznania moralnych przeszkód, stojących między nim a Ligią, w zamiarze ukazania nam chrześcian w ich domowem otoczeniu, poddania bohatera nowym wpływom itp. Być może skusiła autora antyteza wykrzykników: „Zabij“, „Nie zabijaj“, wychodzących kolejno z ust poganina i chrześcianki... Ale obecnie, gdy przedmiot przekonań już w grę nie wchodzi, gdy wykradzenie Ligii z więzienia miałoby zupełnie ten sam skutek, co uwolnienie jej w amfiteatrze z rąk Nerona za sprawą Lyga i widzów, teraz już widoczna jest chęć pisarza nawiązania na tę samą nić wiele wyjątkowych sytuacyi, rozbudzenia niepokoju i utrzymania oczekiwań czytelnika w ciągłem zawieszeniu.

(Dokończenie nastąpi).

Ostatnie powieści
Rodziewiczówny.*)

P. Rodziewiczówna wiecznie jednę powieść pisze — na różnych tłach haftuje wciąż te same wzory: cichego bohaterstwa, wielkich poświęceń, charakterów niezłomnych, apostołów idei itp. Wiecznie „Dewajtys“, z którego autorka coraz świeższe kopie odciska, lecz coraz bledsze, coraz mniej zabawne. „Dewajtys“ zrodził już: „Szary Proch“, „Hrywdę“ i parę drobniejszych rzeczy; „Na Wyżynach“ i „Jerychonka“ należą także do spóźnionych owoców tej przedziwnej partenogienezy. Bohaterowie utworów p. R. zmieniają od czasu płeć, stanowiska społeczne, wiek lub urodzenie, w istocie jednak zawsze są mitycznymi Heraklesami, którym *fatum* narzuciło od kolebki wykonanie nadludzkich „dwunastu prac.“ P. R. rozwija działalność swoich „nadludzi“ zawsze na tle niezwykłem i tak każdego oświetla, że czytelnik, z zewnętrznej tylko wnosząc postawy, powiada sobie odrazu: „oto jest ten, co urwie łeb hydrze“, albo: „tego z góry los przeznaczył na ofiarę bogom.“ Dekoracye utworów swoich maluje p. R. barwami tajemniczo-ponuremi, jeżeli można tak powiedzieć: zawsze dymią się tam jakieś zgliszcza, biją nagle pioruny, walą się w gruzy gmachy, słychać huk, trzask, jęk dusz pokutujących.... Śmierci nagłe podstępy, zdrady, mordy.... uwijają się wśród tego chaosu melodramatycznego, jak najpospolitsze zjawiska. Autorka lubuje się w efektach przesadnie jaskrawych, w scenach przerażających. Z tego względu utwory p. R. przypominają t. zw. „straszliwe“ powieści pani Radcliffe i jej podobnych. Ta tylko pomiędzy niemi zachodzi różnica, że tamte nie miały pretensyi do wyobrażania rzeczywistości, utwory zaś p. Rodziewiczówny mają jakoby odtwarzać życie prawdziwe.

Powieść „Na Wyżynach“ jest historyą jednego z tych operetkowych tytanów p. R., który gołębią prostotą, pokorą, uległością, wyrzekaniem się dóbr ziemskich chce zreformować dość opłakane stosunki, panujące w fabryce sukna w Holendrach pod Łodzią. Jest nim młody Dyzma Kryszpin, syn siostry właściciela fabryki, Fusta, który wyrzekł się jej był przed laty za to, że postąpiła wbrew jego woli, poślubiając doktora Kryszpina. Po śmierci siostry stary Fust zajął się losem pozostałych po niej sierot: siedemnastoletnim Dyzmą, młodszym od niego o parę lat Frankiem i malutką Elżunią. — Los sierot dzieli ich babka — uosobienie cnót chrześciańskich, postać podniosła, ledwie dotykająca stopą ziemi, przebaczająca wszelkie krzywdy i wyrzekająca się wszystkiego, co ziemskie; jedna to z lepszych figur powieści, pomimo swej koturnowości.

Chłopców przeznaczono do podrzędnych i uciążliwych zajęć fabrycznych. Fabryką rządzi surowo i brutalnie pasierb Fusta, Rudolf Ulm. Siedemnastoletni Dyzma wchodzi w życie fabryczne z tak dojrzałemi planami reformowania go, z programem działań tak ściśle i z góry ułożonym, jakby to było wynikiem długoletniego doświadczenia i wielu prób ogniowych. Program ten za najskuteczniejszy regulator stosunków społecznych uznaje miłość, obejmującą wszystko: zło i dobro, krzywdzących i pokrzywdzonych, spragnionych naprawy społecznej i sprzeciwiających się jej. Od zasady tej Dyzma ani na włosek nie odstępuje: sam stara się być jej żywem wcieleniem, innych pragnie nią przejąć bezwzględnie. Z początku wszystko idzie, jak z płatka. Młody reformator pozyskuje zaufanie robotników, dzięki czemu udaje mu się założyć parę pożytecznych dla nich instytucyi, jak oto: czytelnię, chór robotniczy i kapelę, wreszcie gospodę, dzierżawioną przez samych robotników. Na tem kończą się reformy! Różdżka czarodziejska, która przez czas jakiś działała tak cudownie, że w okamgnieniu wprowadzała ład do chaosu fabrycznego, przestała działać i wypadła z rąk Dyzmy. Ognia z wodą nie była w stanie połączyć bez krzywdy dla jednego z tych żywiołów; sprzecznych interesów — dwóch odrębnych światów nie mogła pojednać. Dyzma chciał być wiernym i zwierzchności fabrycznej i robotnikom, pragnął spełniać

*) Jerychonka. Powieść. Warszawa 1896 Lewental. Na Wyżynach. Warszawa 1899. Gebethner i Wolff.

święcie obowiązki względem obydwóch tych stron i był mocno przekonany, że tylko na takiem stanowisku można wielkich rzeczy dokonać, nie nadwerężając zasady miłości. Dyzma głosił: zadowolenie z losu i poprzestawanie na swojem, pogardę dla bogactw i posłuszeństwo absolutne, i jednocześnie pragnął towarzyszy swoich wydobyć z nędzy moralnej i materyalnej, ulżyć ich doli i trosce ich o poprawę bytu nadać charakter bardziej samodzielny, sprzęgnąć wysiłki jednostek i zorganizowac je. Namawiał słowem kogoś, był dążył do zmiany swego losu i zarazem pozbawiał go środków, umożliwiających tę zmianę. Życie nie omieszkało zdyskredytować ideału Dyzmy, pełnego sprzeczności i niekonsekwencyi. Niepowodzenia i nieszczęścia zaczęły, jak grad spadać na jego głowę. W początkach jego zapędów reformatorsko-filantropijnych dyrektor fabryki bierze go za niebezpiecznego wichrzyciela i pozbawia miejsca.

Później, gdy został znowu do fabryki przyjętym, robotnicy podejrzywają go o konszachty z dyrekcyą, widzą w nim szpiega starego Fusta, lżą go i zniesławiają. Nic go jednak nie zraża, jak również najboleśniejsze doświadczenie nie może przekonać, że kto życie chce reformować, powinien je opanować i sposoby zwalczania złego brać z samego życia, nie narzucając mu niewykonalnych, zgóry skazanych na niepowodzenie planów. Dyzma przeciwnie, jakby umyślnie wytrąca sobie z rąk broń ziemską i wyrzeka się bez wahania środków, któreby mu mogły okazać dzielną pomoc w walce ze złem. Oto przykład, charakteryzujący jego sposób zapatrywania się na rzeczy. Wypadki tak się układają, że Dyzma zostaje uniwersalnym spadkobiercą swego wuja. W ten sposób nawet jego filantropijnym zachciankom odkrywa się ponętna perspektywa. Będąc właścicielem fabryki i znacznych kapitałów, mógłby choć cząstkę swego ideału miłości ogólnej urzeczywistnić, a gdyby nie chciał obniżać własnego polotu i przystosowywać się do wymagań praktycznych, to mógłby przynajmniej targnąć się na coś wielkiego, choć przez chwilę jedną mieć nadzieję, że wymarzoną utopję wcieli w życie najbliższe. Ale Dyzma właśnie jest tak nieubłaganie konsekwentnym, że pragnąłby ideały swoje urzeczywistniać bez pomocy jakichkolwiek środków — dlatego wyrzeka się spadku. Lud fabryczny, który wiele sobie obiecywał od tych zmian niespodziewanych, dowiedziawszy się o postanowieniu Dyzmy, obrzuca go tym razem już nie śmiechem, lecz błotem i kamieniami. Na takich to „wyżynach" absurdu i spełniania obowiązków, nie wiadomo względem kogo, postawiła autorka swego bohatera. Rzuca to także światło i na jej pojmowanie obowiązków społecznych, i na to, jakby pragnęła rozwiązywać powikłanie obecnych stosunków ludzkich. Niedziałanie, wyrzekanie się środków walki, jałowe poświęcanie się dla celów, stojących poza życiem: oto co ma, jej zdaniem, zaradzić najskuteczniej złemu.

Od powieściopisarzy nie wymaga świat zdolności reformatorskich, ale o mniejszą naiwność w poglądach na sprawy pierwszorzędnej wagi każdy ma prawo ich prosić. Nie potrzebujemy wyliczać tych wszystkich ciosów, jakie zwala autorka na swego bohatera, by przekonać czytelnika, iż nic nie jest w stanie ściągnąć go z tych wyżyn, na jakich podobało się jej go postawić. Wymieniamy tu jednak kilka, ażeby czytelnik mógł podziwiać pomysłowość autorki. Śmierć zabiera Dyzmie najukochańsze istoty: babkę, siostrę i Herthę, której wprawdzie nie kocha ziemską miłością, gdyż toby go mogło ściągnąć z wyżyn, ale która pomimo to jest mu wielce droga. Następnie złość ludzka posądza go o zbrodnię i pakuje do więzienia; później przyjaciel, który zawiódł go przedtem i oszukał, rani go w twarz wystrzałem z pistoletu etc. etc. Pomniejszych okropności i ponurych scen, rzecz prosta, co niemiara w powieści.

W „Jerychonce" Tytan zmienia płeć i nazywa się Magdą Domontówną. Magda jest artystką-malarką wielkiego talentu. Uwielbia sztukę, jest prawdziwą jej kapłanką, gotową do największych poświęceń. W chwili natchnienia twórczego rzeczy ziemskie i ludzkie malały w jej oczach i myśli. Mimo to jedna „rzecz ziemska i ludzka" zaprząta ją mocniej od innych: jest nią Filip Osiecki, jej kuzyn i malarz także. Kuzynek flirtował z nią niegdyś, kiedy była młodszą, i podniośle rozprawiał o sztuce; odtąd żywi ona dla niego w głębi ducha szczere uczucie miłości, z którem przed nikim się nie zdradza, owszem, stara się nawet je przykryć powagą i sztuczną surowością zapewne dlatego, by nie wystawić na szwank swego wysoko pojętego powołania kapłanki sztuki. Filip szaleje za baronówną Faustanger, przewrotną lwicą, która go zwodzi, rozprzęga talent i wolę twórczą i rujnuje materyalnie (Filip jest bardzo bogaty). Magda opętanego szałem miłosnym Filipa traktuje pobłażliwie, jak chore dziecko, ostrzega go przed niebezpieczeństwem, jakie mu grozi od pustej kokiety światowej, i postanawia „cieszyć się z nim razem i boleć i, o ile można strzedz jego duszy". Nic nie pomagają jednak wykłady, urządzane przez Magdę dla Filipa o tem, „że miłość artysty powinna być czystą, nieszczęśliwą i niedostępną, mieszkać razem z jego natchnieniem w niebie...," nic nie skutkują jej przestrogi i rady. Baronówna wciąga powoli Filipa w przepaść i odziera go z pieniędzy, potem porzuca. Filip, pozbawiony nadziei odzyskania przedmiotu swoich szałów, z bólu i rozpaczy zapada ciężko na zdrowiu, do którego z trudem powraca.

Dotychczas nic nie było nadzwyczajnego w przebiegu wypadków: wszystko szło pospolitym trybem. Ale właśnie dlatego musiało przyjść do głowy autorce, że powieść zostanie zepsutą, jeśli jej nie zakończy jakąś sceną przerażającą. Więc dała ją. Nie dość jej było tego, że — według przepowiedni Magdy — baronowa rzuciła Filipa, jak połamaną zabawkę, niedość, że opróżniła mu kieszeń i wyssała życie z duszy: wszak pozostało jeszcze ciało, nadwątlone wprawdzie chorobą, ale zawsze żywe, trzebaż więc coś z niem zrobić. Uśmiercić? To takie proste. Zwyczajna przecież śmierć jest pozbawioną wszelkiej grozy, należy więc stworzyć dla niej niepowszednie warunki.

Byłoby rzeczą zbyt naturalną dla autorki, gdyby Filip, po doznanych zawodach miłosnych, sam sobie życie odebrał, robi więc tak, że mu je odbierają inni, z woli baronowej, pragnącej uwolnić się raz nazawsze od dawnego gacha. Dzięki temu umierający Filip ma możność wynurzenia wobec baronowej wszystkich swych żalów do niej za złamane życie — i to w tak długiej tyradzie, że zdrowemu człowiekowi zabrakłoby tchu do jej wypowiedzenia. Magda po śmierci Filipa drętwieje nieco, ma jednak nadzieję odżyć rychło przez sztukę.

„Jerychonce," pomimo wszystkich jej nienaturalności, przyznajemy wyższość nad poprzednią powieścią Rodziewiczowny. „Jerychonka" pisana jest dość żywo i z werwą. Magda jest postacią przesadną wprawdzie, deklamującą wciąż i na wysoką nutę niezmiennie nastrojoną, pomimo to jednak sympatyczną i konsekwentną. Udatną także postacią jest malarz Oryż, bez wzajemności zakochany w Magdzie, — typ cygana — artysty, cynik i pijak, w gruncie jednak uczciwy i z dobrem sercem; postać ta, jednak jest jak inne przesadną. — Autorka zajęta była głównie w „Jerychonce" wikłaniem sensacyjnej tabuły, nie sądzimy bowiem, by chodziło jej przedewszystkiem o udowodnienie tej tezy: że miłość artysty powinna być koniecznie czystą, nieszczęśliwą i niedostępną.

Omawiane powieści Rodziewiczówny rażą nas tem samem, co i dawniejsze. Brak im prostoty, miary i poczucia rzeczywistości, postaciom ich brak piętna indywidualnego: są to jakieś typy, jacyś l u d z i e w o g ó l e, nie zaś indywidua, żyjące samotnie, wytworzone jakiemś otoczeniem znanem. Autorka czyni, co może, ażeby kreacye swoje wystawić w świetle niepowszedniem i wlać w nie ducha szczytności, doznaje jednak pod tym względem niepowodzenia: podniosłość zawsze brata się u niej z rozdzierającą banalnością, a tragizm przechodzi w pozę teatralną! Postacie jej utworów robią wrażenie osób, które przed rozpoczęciem najzwyklejszego działania oglądają swoje oblicze w zwierciadle, studyują swoje ruchy z myślą o tych, wobec których będą się swoją szlachetnością i wdziękiem popisywać.

Akcyę powieści swych rozwija najczęściej Rodziewiczówna w środowiskach fikcyjnych, pozbawionych kolorytu miejscowego, nieprzypominających nam szczegółem żadnym otoczenia, w którem żyjemy.

Wł. Jabłonowski.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Wychowanie publiczne w Anglii.

I.

Żadne z wielkich współczesnych państw cywilizowanych nie zaczęło tak późno wciągać wychowania publicznego w zakres swej działalności jak Anglia. Po tak korzystnym dla oświaty ludowej okresie reformacyi i renesansu — 500 szkół z zapisów pochodzi w Anglii z XVI wieku — nastąpił długi peryod zastoju a nawet cofania się. Parlamentarna arystokracya XVII wieku nie tylko nic nie uczyniła dla wychowania publicznego, ale nawet istniejące już instytucye naukowe, powstałe z zapisów, tak szkoły jak uniwersytety, odwiodła od pierwotnego ich celu służenia całemu ludowi, a zwłaszcza niezamożnym jednostkom, i zamieniła je na zakłady dla „gentry" i kościoła państwowego. Zmonopolizowane w ten sposób przez panującą warstwę skostniały wyższe zakłady naukowe, tak iż Adam Smith w swym Wealth of Natines uznał wolne współzawodnictwo za najwłaściwszą zasadę dla wychowania publicznego i domagał się jedynie dla szkół elementarnych pomocy państwowej w możliwie szczupłych rozmiarach. Gdy wreszcie w pierwszych dziesiątkach lat bieżącego wieku obudziła się i wzmocniła świadomość, że państwo zapobiegające sprzedaży fałszowanych artykułów spożywczych, zobowiązane jest także i uprawnione do czuwania nad umysłowym pokarmem narodu — zwróciła się uwaga prawodawców i filantropów najpierw na najniższe i najwyższe stopnie wychowania, na szkoły elementarne i uniwersytety. Założenie bezwyznaniowej „University of London (1828) stanowiło początek gruntownej, prowadzonej racyonalnie i odpowiadającej wymaganiom czasu reformy uniwersytetów; przyznanie subwencyi państwowej w wysokości 20,000 funtów rocznie szkołom elementarnym w r. 1833 prowadziło sto-

pniowo do zaprowadzenia ogólnego obowiązkowego, a w r. 1891 bezpłatnego wychowania elementarnego.

Cała wielka, spoczywająca w środku pomiędzy temi dwoma krańcami dziedzina tak zw. szkół średnich pozostawała przez czas daleko dłuższy wystawiona na błogosławieństwo popytu i podaży; z jakim skutkiem w wielu wypadkach — przedstawił nam Dickens w swym Mikołaju Nickleby i Dawidzie Copperfield w pamiętny sposób. W r. 1861 zebrała się wreszcie królewska komisya pod przewodnictwem lorda Clarendana celem zbadania stosunków w dziewięciu największych szkołach, utworzonych z zapisów (Eton, Winchester, Westminster, Harrow, Rugby, Shrewsbury, St. Pauls i Merchant Taylors. Dwie ostatnie są „day-schools“; reszta „boarding-schools“). Sprawozdanie tej komisyi, która odkryła wiele niedostatków, spowodowało uchwalenie w r. 1868 ustawy Public-School, reformującej gruntownie zarząd siedmiu wielkich alumnatów pomiędzy temi zapisami. Większe znaczenie posiada komisya z r. 1864, której działalność obejmowała wszystkie wyższe zakłady naukowe i której sprawozdanie ogłoszone zostało w r. 1867 w 20 tomach. Komisya ta uznała wyższe wychowanie w Anglii za niedostateczne tak pod względem jakości jak ilości, bez organicznego związku zarówno z uniwersytetami jak szkołami elementarnemi, i poleciła energiczną reformę na wewnątrz i zewnątrz oraz jednolitą organizacyę pod dozorem państwowym. Na razie jednak uchwalony został jedynie bil Endower School (1869) przez który szkoły średnie, powstałe z zapisów, poddane zostały specyalnej władzy, najpierw „Endower School Commission“ a w r. 1874 „Charity Commission“, której zadaniem było jednolite uregulowanie ich zarządu. Działalność jednak tych ciał była za powolna i ciężka, i ołprzymia liczba szkół prywatnych lub założonych na akcye szkół stowarzyszeń pozostawała w dalszym ciągu w dawniejszym swym anarchicznym stanie.

Swoją drogą w ostatnich czasach spostrzegamy w angielskiem wychowaniu publicznem dość znaczny postęp. Parlament, uniwersytety, wielkie sekty religijne, korporacye miejskie, nauczyciele i osoby prywatne, współzawodniczyli z sobą w dążeniu ku powiększeniu liczby szkół dla chłopców i dziewcząt i ulepszeniu tych zakładów, ale na wysiłki te zdobywano się zbyt sporadycznie i bez należytego związku, i wskutek tego wynik nie zawsze odpowiadał nakładowi czasu, pracy i pieniędzy. Na wniosek więc ówczesnego wiceprezesa urzędu dla wychowania, Aclanda, zebrała się w marcu 1894 r. nowa komisya, której powierzono „zbadanie najlepszych wobec istniejących braków i miejscowych źródeł dochodu metod, mogących zapewnić Anglii należycie zorganizowany system wyższego wychowania publicznego“. Prezesem tej komisyi był James Bryce, wybitny profesor uniwersytetu, autor i członek parlamentu. (Napisał pomiędzy innemi epokowe dzieło o rzeczypospolitej północno-amerykańskiej). Reszta komisyi składała się z nauczycieli elementarnych, dyrektorów wyższych zakładów naukowych, profesorów uniwersytetu, duchownych, członków lokalnych zarządów i trzech kobiet, a mianowicie nauczycielki wyższego zakładu naukowego dla dziewcząt, kierowniczki gimnazyum żeńskiego w Cambridge i damy z najwyższej arystokracyi. Komisya ogłosiła owoce swej pracy w 9 tomach, z których pierwszy zawiera właściwe sprawozdanie (Report of the Royal Commission on Secindary Educations Vol. 1. 1895), gdy reszta obejmuje prace przedwstępne i dokumenta. Sprawozdanie ogranicza się na kwestyi organizacyi, pobieżnie tylko poruszając plac i metody nauczania. W tych granicach jednak jest tem zupełniejsze, przedstawia autentyczny obraz angielskiego wychowania publicznego i podaje główne zasady prawdziwie narodowej jego reformy.

Istniejące w Anglii szkoły podzielić można podług ich stopnia i działalności na trzy klasy, chociaż podział ten w szczegółach nie da się ściśle przeprowadzić. Szkoły pierwszego stopnia, zatrzymujące swych uczniów od 18 lub 19 roku, kształcą ich dla uniwersytetu i wyższych zawodów; szkoły drugiego stopnia, opuszczane przez uczniów w 16 lub 17 roku, przygotowują ich do kupieckiego lub przemysłowego zawodu; szkoły trzeciego stopnia, w których kończy się nauka z 14 lub 15 rokiem ucznia, kształcą chłopców i dziewczęta do warsztatów i sklepów. Podług swej administracyi dzielą się, rzecz jasna te szkoły znów na zakłady, utrzymywane z zapisów, przez stowarzyszenia i na szkoły prywatne. Co się tyczy szkół utrzymywanych z zapisów, to szkoły pierwszego stopnia dostępne z powodu wysokiej bardzo opłaty za naukę, i dzisiaj jeszcze wyłącznie prawie arystokracyi rodowej i finansowej, odznaczają się niezwykłym stopniem rozwoju. Jako zakłady wychowawcze we właściwem tej nazwy znaczeniu, przygotowujące młodzież do życia publicznego w wolnem państwie, szkoły te od czasów reform zaprowadzonych przez dr. Tomasza Arnolda, sławnego „headmaster“ z Rugby, są niedoścignione i jedyne w swym rodzaju, a i wykład, dzięki przedewszystkiem zaprowadzeniu wolnych egzaminów konkurencyjnych dla służby wojskowej i cywilnej uległ znacznemu rozszerzeniu i pogłębieniu; obok języków starożytnych coraz pilniejsza zwracana bywa uwaga na języki nowsze i nauki przyrodnicze.

K. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„Dla zdrowia ludu.“

Dowodził ktoś, zdaje się nadworny lekarz Bismarcka, że stan zdrowotny wsi znacznie jest gorszy niż miast wielkich; że procent śmiertelności na prowincyi zwykle bywa większy, niż w miastach. Jeżeli tak jest w Niemczech, gdzie miasteczka i wsie słyną z czystości i porządku, to cóż mówić o stosunkach zaboru rosyjskiego, o tych osadach i miasteczkach, które są gnojowiskami, kloakami zbiorowemi i gdzie brud i niechlujstwo tak jest wielkie, jak wielka ciemnota mas ludności; gdzie ta ludność odznacza się niesłychanym uporem i solidarnością, gdy chodzi o zażartą walkę z... hygieną! Na te warunki okropne zwrócono baczną, powszechną uwagę dopiero w chwili groźnej dla całego kraju — podczas epidemii cholery. Stworzono „komisye sanitarne,“ które przeraziły się ogromem pracy, przekonały się, że chcąc oczyścić te odwieczne zbiorowiska brudu i miazmatów, trzeba pracy olbrzymiej, trzeba dużo poświęcić kosztów, wysiłków i walki w mrokach.

Na jaki grunt te czasowe organizacye trafiły, powziąć możemy pojęcie z opisów twórcy takich komisyj, d-ra Józefa Tchórznickiego, w najświeższej jego pracy p. t. „Dla zdrowia ludu“ (Warszawa, 1896). Są tam zawarte dzieje owych przeciwdziałań (od 27 lipca do 5 grudnia r. 1892 w gub. Siedleckiej osadach Sterdyni i Kosowie), które, o ile wiemy, nie są zjawiskiem wyjątkowem w jednym tylko zakątku, lecz, niestety, ogólnem w całym kraju.

Przedewszystkiem zobaczmy, jak wygląda osada (Kosów): Pierwszy rząd domów od ulicy stoi na gruncie, drugi już na warstwie nawozu, trzeci — na wysokiej warstwie błota, nawozu i śmieci. Uliczki wąziutkie, wszelkie ścieki dążą ku małej rzeczce, przepływającej przez osadę. Tamują je domy, „kuczki,“ drzewo rąbane, bezładnie i dowolnie zawalające podwórza, kąty i inne miejsca. Nawóz uliczny przechowywany w stodołach; łaźnia i mykwa w najokropniejszym stanie. Bydłobójnia — w chlewach zwykłych od strony rzeki; pod nimi zaś cuchnące zdala kałuże, głębokie na trzy łokcie. Bóżnica na najbłotnistszym placu, a nad rzeką klozety żydowskie, wstrzymujące bieg wody. Poza domami z lewej strony ulicy przechodził niegdyś głęboki rów, prowadzący wodę ze źródeł i pól do rzeki. Na nim zbudowano kilka „kuczek“ każda zaś z nich zamknęła bieg wody, skutkiem czego potworzyły się kałuże błotniste. Inny rów zaorany i rzeka zatamowana poniżej osady. Woda, pozbawiona odpływu, oblewa bóżnicę w koło, podbiega pod domki i tworzy w nich wieczną wilgoć. Przepełnienie w mieszkaniach niemożliwe. Cała mieścina to kupa zgnilizny, z której nigdy nie wychodzą: ospa, dyfteryt, tyfus plamisty, dysenterya i wszelkie inne choroby.

Obraz ten, jak rzekliśmy, nie pojedyńczy, nie wyjątkowy; jest on zjawiskiem powszechnem w całym kraju. Wobec takich warunków wystąpiły do walki z niechlujstwem komisye sanitarne. „Prości ludzie i Żydzi — pisze dr. Tchórznicki — zwrócili głównie swe oczy na dwory i podpatrując, co te czynić będą, wyczekiwali swej kolei, w nadziei, że dwór pierwszy wykona doskonale roboty i da im przykład. Gdy zaś dwór ociągał się, ciekawi byli bardzo, czy też do sądu zaskarżony będzie? Jeżeli nie — to konsekwentnie rzeczy biorąc, i ich ominie cała niepożądana ciężka praca.“ Przykład dworu zawiódł atoli oczekiwania: Napotkano tam — opór! Roboty szły powoli z przerwami; widząc to mieszkańcy osady tembardziej nie zabierali się do porządku, ten zaś przykład zaraźliwy udzielił się i sąsiedniej osadzie. „Za wiele wymagań; mogłoby się i bez tego obejść!“ — wołano. Tłum ciemny chwytał te słowa i na nich swój opór fundował, za co potem niepotrzebnie płacił kary i odsiadywał kozy. „Nowe interwencye do p. właściciela, nowe starania i delikatne prośby, dowodziły tylko, że pomimo teoryi, nie wszyscy w praktyce są wobec prawa równi; że instrukcye sanitarne są martwą literą, a każdy przepis jest względnym dotąd, dopóki stosuje go osoba w jaki bądź sposób związana stosunkiem osobistym z wykonawcą i grzeczna aż do zapomnienia świętych obowiązków ochrony zdrowia publicznego, przyjętych na siebie w chwili tak ważnej, jak epidemia.“

Względy natury osobistej odegrały w tej mierze bardzo smutną rolę, ale jednocześnie zaogniły stosunki sąsiedzkie. Ludzie, żyjący przedtem w najlepszej zgodzie, zaczęli potem sobie wygrażać wzajemnie. Utrudniło to ogromnie działalność komisyi. Gdy jednak zbliżyła się cholera i zastała ludność pomimo usiłowań jednostek, prawie nieprzygotowaną, członkowie komisyi uznali za niezbędny warunek pozbycie się wszelkich skrupułów i przyjęcie zasady bezwzględności. Uchwalono, ażeby każdy opiekun sanitarny podał gminie wykazy niewykonanych robót na jego terytoryum i aby wójt uciekł się do sądu. Uchwałę tę powzięto dopiero po miesiącu bezowocnych wyczekiwań. Jakoż uka-

rano dozory bożnicze i 18 tu opornych, a paręset rubli zasądzono za nieporządki sanitarne. Pobudziło to opieszałych i niechętnych — do roboty, ale zarazem zrodziło nienawiść tłumów ku komisyi. Złorzeczyli jej nietylko ciemni, ale i tak zwana inteligencya wiejska, która tym sposobem jeszcze bardziej wrogo usposabiała nieoświeconych. Zaczęto w najrozmaitszy sposób grozić członkom organizacyi zdrowotnej; szczególnie zaś przewodniczącemu. Radzono mu np., aby nie jeździł wieczorem, gdyż Żydzi zamierzają zastąpić mu drogę; zapowiadano otrucie, okładano dom w nocy świecącem próchnem, wreszcie obiecywano wyciągnąć na niego takie przekleństwa, jakich przez 100 lat nie wyciągano. Zrażeni tem widocznie członkowie komisyi, coraz rzadziej zaczęli uczęszczać na posiedzenia, aż wreszcie i na nich kary nałożono (od 30 kop. do 1 rs. na rzecz komitetu dobroczynnego). Nie wiele to wszakże pomogło.

Obok komisyj sanitarnych postanowiono stworzyć w każdej gminie „rady zdrowia“ z udziałem lekarza i pod przewodnictwem wybranego z pośród mieszkańców obywatela. Oprócz prezesa i jego zastępcy, wchodziło w skład tych organizacyi kilku opiekunów sanitarnych i sekretarz; na posiedzenia wezwano duchowieństwo. Podzielono gminy na „rewiry sanitarne“ i co tydzień zwoływano narady. W końcu połączono komisye sanitarne z radami gminnemi. Zadania ich były nadzwyczaj proste: wywieźć nawóz na pola, oczyścić ulice i porobić rowy lub tylko poprawić, wyrównać podłogi klepiskowe, wybielić izby, zrobić w oknach lufciki, oddalić trzodę od domów i przebrać studnie. Pomimo wszakże tej prostoty zadań, były one prawie niemożliwe do wykonania w obec nieprzeniknionej ciemnoty ludności i nałogowego jej niechlujstwa. Rozsiewano najfałszywsze wieści o komisyi, jej celach i członkach. Niektórzy przez zemstę za nałożone kary wmawiali w lud, że lekarze trują chorych w szpitalach i domach, że będą nałożone stałe podatki choleryczne, że lekarze powaryowali, że sprowadzili z Azyi robaczka cholerycznego, którego pilnie hodują w szpitalach dla trucia chorych. Na mocniejszych puszczają tego robaczka; uśmierca on biedaków. Wreszcie wmawiano, że porządki są zbyteczne, że więc nie trzeba wcale ich robić. Lud oczywiście dawał posłuch tym fałszom.

Do wsi wszakże nie były stosowane kary, starano się wszystko uzyskać dobrowolnie i wytworzyć „przekonanie“ o konieczności ulepszeń zdrowotnych. Przy każdem nowem rozporządzeniu lekarz starał się tłómaczyć potrzebę środków ochronnych. W dni świąteczne urządzano wykłady przystępne o cholerze, rozdawano książeczki popularne, zapisywano ochotników na dozorców i dozorczynie chorych. Wywierało to wpływ, ale nadzwyczaj drobny, osłabiany przy tem odpornością i arogancyą tych, którzy powinni być bodźcem i dobrym przykładem dla ogółu ludności wiejskiej. „Dwaj najzamożniejsi ludzie w okolicy — pisze dr. T. — przez pierwsze kilka tygodni nie kazali wykonywać żadnej roboty, odmówili udziału w posiedzeniach i dyskredytowali rozporządzenia komisyi, zbywając milczeniem sołtysów, przynoszących wezwania. Dopiero list naczelnika powiatu i osobista wizyta lekarza poprawiła nieco stan rzeczy.“ Mniej zamożni obywatele chętnie wzięli udział w posiedzeniach i przewodniczyli zebraniom.

Te niedawne dzieje zabiegów około uzdrowotnienia prowincyi, rzucają bardzo smutne światło na poziom umysłowy i charakter jej mieszkańców. Ciemne tłumy, podsycane przez liche, spodlone jednostki, wyraziły całą swą fanatyczną nienawiść względem urządzeń zdrowotnych i ich organizatorów. „Inteligencya“ — uporem, lekceważeniem hygieny, drwinami, wygłaszanemi wobec ludu, wytworzyła w nim jeszcze większą odporność. Tam, gdzie do komisyi powołano przedstawicieli wszystkich warstw ludności o bardzo różnym poziomie umysłowym, weszli w skład tej organizacyi członkowie nietylko mało pożyteczni, ale wprost szkodliwi, gdyż nie rozumiejąc doniosłości środków ochronnych, wzmacniali żywioł opozycyjny, ku szkodzie ogólnej. Przykład ten wymownie dowiódł, że system parlamentarny w takich urządzeniach jest przedwczesny, że absolutyzm i nacisk administracyjny są jedynemi środkami, torującemi drogę ulepszeniom hygienicznym przez ciemnotę tłumów. Oczywiście mówię tu o takich wypadkach, gdy chodzi o wzmocnienie tymczasowej ochrony wobec groźnej epidemii. Gruntowne i stałe uzdrowotnienie kraju taką drogą nigdy się nie da osiągnąć — po pierwsze — że stoi na przeszkodzie ubóstwo masowe i warunki pracy, powtóre — że przemocą narzucone środki zawsze będą wrogo przyjmowane i odpychane całą siłą mroków umysłowych.

Jakież dzisiaj można znaleźć sposoby możliwie najskuteczniejsze? Dr. Tchórznicki podaje ich aż jedenaście: 1) Przepisy sanitarne powinny być nakazane z góry w jasno określonej formie. Wykonaniem ich powinna się zająć tylko władza administracyjna. 2) Udział lekarza miejscowego powinien się zasadzać na udzielaniu objaśnień specyalnych w rzeczach naukowych i spornych. 3) Władza wójtów i sołtysów na miejscu nie jest wystarczającą. Potrzeba władzy administracyjnej powiatowej lub urzędnika specyalnie i jedynie zajętego epidemią i mającego na swe usługi przynajmniej dwu strażników w gminie. 4) Rozporządzenie co do robót, pociągających za sobą koszta, powinno być połączone z udzielaniem na nie środków materyalnych, przynajmniej dla ubogich. W tym celu należy zużytkować wszelkie kary pieniężne, naznaczone przez sędziów na nieposłusznych. 5) Terminy, oznaczone do wypełniania robót, powinny ściśle odpowiadać rzeczywistej ilości czasu, potrzebnego do wykonania. 6) Wobec niesłychanej biedy śród ludności osad, należy wymagania, o ile można, uprościć i ograniczyć, mnogość ich bowiem stawia mieszkańców w położeniu bez wyjścia. Często niema czego jeść, a tu — termin i kara. 7) W przepisach budowlanych należy zwrócić uwagę na hygienę mieszkań i stosować przepisy te bez tak wielkich kosztów, jak obecnie (plan i pozwolenie wynosi nieraz czwartą część kosztów budowli). 8) Ważną rolę gra jednolitość wymagań w całym kraju. 9) Częste posiedzenia rad zdrowia mają tę dobrą stronę, że zaznajamiają uczestników, a więc i ludność całą, ze środkami ochronnemi i sposobem ich stosowania. Żeby wszakże nie znużyć większości, posiedzenia zwoływać należy tylko raz na tydzień, najwyżej na godzinę lub półtorej. 10) Obywatele, duchowieństwo, przedstawiciele inteligencyi w różnych zawodach i opiekunowie sanitarni powinni dawać nieustanny przykład za pomocą bezzwłocznego wykonywania przepisów i „rad.“ 11) Należy wprowadzić wykład hygieny w szkołach elementarnych i średnich. Wreszcie wnioskodawca zaleca stosować wszelkie środki sanitarne we wsiach i osadach, jako ochronne od chorób zaraźliwych, nietylko w czasie epidemii, lecz stale, ciągle i obowiązkowo, pod okiem odpowiedniej władzy zdrowotnej.

Środki powyższe, niewątpliwie do pewnego stopnia skuteczne, należałoby przyjąć jako tymczasowe, doraźne. Nie obejmują one bowiem całokształtu warunków, nie wnikają w jego rdzeń. Zdrowotność kraju jest związana ściśle z ogólnym bytem i jego objawami. Nie można więc za pomocą przepisów, zawartych w 11-tu punktach, przekształcić zasadniczo ani tego bytu, ani jego objawów.

Zen. Piet.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

VI.

Lwów. 5 lipca.

(Walne zgromadzenie Stowarzyszenia nauczycielek. — Co się dzieje ze sprawą lwowskich praktykantek? — Niedźwiedzia przysługa).

„Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie“ — mówił ongi ojczuś Pol Wincenty i mówił prawdę. Dzisiaj wszakże uczciwe serce czuje się szczęśliwem, gdy może rozpalić się radością i chlubą nad zaletami własnego społeczeństwa a rozum da mu na te jego uniesienia aprobatę. W tak miłem położeniu znajduje się Wasza korespondentka, — a jeśli wskaże gdzie czego brak, to jedynie z tej samej przyczyny gorącego przywiązania do gleby własnej i pragnienia, by ta gleba najżyźniejszą i najchlebodajniejszą była. Jakież to piękne hasło: „wszystkim ciałom rozdać chleba, wszystkim duszom myśli z nieba“. Czy o niej pamiętna instytucya, o której dzisiaj pisać zamierzamy? — Proszę, niechaj Czytelnicy sami osądzą z naszego rzetelnego sprawozdania.

Odbyło się walne zgromadzenie zawiązanego przed czterema laty stowarzyszenia nauczycielek we Lwowie, na wzór takiegoż samego istniejącego w Krakowie, które wraz z tamtejszem biurem dla nauczycielek i guwernantek nosi tytuł „Filopajdaja“. Głównym celem stowarzyszenia nauczycielek jest niesienie pomocy materyalnej członkom i budowa schroniska dla spracowanych, wysłużonych, emerytowanych, a bardziej jeszcze pozbawionych emerytury nauczycielek. Jak w dalszym ciągu niniejszej korespondencyi wykazać się postaram, stowarzyszenie to występuje jako wyjątkowo postawiona instytucya, albowiem daje oparcie nietylko materyalne, lecz i moralne swym członkom; i to też udają się członkowie po tę pomoc i opiekę, ile razy czują się pokrzywdzeni, ilekroć w zawodzie swym natrafią na bezprawie i nieludzkość. Faktycznie, wyjątkowe to stanowisko stowarzyszenia kobiet, jakiem się rzadko które poszczycić może!

Najlepszym dowodem takiej moralnej opieki jest wdanie się stowarzyszenia w sprawę stabilizacyi nauczycielek, która u nas żółwim posuwa się krokiem. Siedzą nieraz na prowizorycznych posadach rządowych nauczycielki w Galicyi po parę lat, a czasem i po kilkanaście lat, nie mogąc się doczekać, by mianowano je stałemi. Ztąd u nas takie opłakane stosunki nauczycielskie. Aby tę ciężką bryłę szkolnictwa pchnąć naprzód, stowarzyszenie porozumiewa się z władzami nadzorczemi szkolnemi, i o ile można wnioskować ze sprężystości stowarzyszenia, potrafi ono wpłynąć na polepszenie sprawy stabilizacyi. — Opieki i pomocy towarzystwa doznają nietylko sami członkowie lecz i nauczycielki, które do towarzystwa nie należą, jeśli jej tylko zapotrzebują. (Wszak nie brak takich, którym trudno zdobyć się nawet na wkładkę miesięczną 25 cent., tj. 40 fen., wynoszącą i jednorazowe wpisowe 1 złr.) — Jest to dowód zacnych tendencyi stowarzyszenia i jego rozumnego działania. Ponieważ na razie towarzystwo nie posiada funduszów na budowę schroniska dla nauczycielek, radzi sobie jak może i w lokalu swym w rynku ma urządzone pokoje, w których bawiące czasowo nauczycielki z pro-

wincyi mogą przebywać za bardzo niską opłatą lub zupełnie bezpłatnie, jeśli tego potrzebują. W roku ubiegłym z pomieszczenia w lokalu stowarzyszenia korzystało 83 nauczycielki, które przyjechały do Lwowa zdawać egzamina lub przygotowywać się do nich. Prócz tego jeszcze udzieliło stowarzyszenie 8 zapomóg, które razem wyniosły 150 złr. Zapomogi są bezzwrotne. Dwie nauczycielki otrzymały na wyjazd na wiejską posadę 20 złr., gdyż nie były w możności opłacenia sobie kosztów podróży; za jedne z nauczycielek złożyło stowarzyszenie taksę egzaminacyjną. Równocześnie krząta się zarząd około budowy schroniska i w krótkim czasie zebrał już przeszło 2000 złr. Dla korzyści nauczycielek, zwłaszcza prywatnych, utrzymuje stowarzyszenie osobne biuro, starające się o posady dla zgłaszających się tamże kandydatek.

Świetnym pomysłem towarzystwa jest projekt urządzenia kursów przygotowawczych do egzaminów wydziałowych. Nauczycielstwu pracującemu, zwłaszcza na prowincyi, często niepodobieństwem jest przygotować się do egzaminów: rada szkolna uwzględniając te trudności, ustanowiła kursa przygotowawcze we Lwowie dla mężczyzn. Nauczyciele z prowincyi otrzymują, przybywając na kurs, wynagrodzenie osobne, oprócz płacy zwykłej, bezpłatny wykład, i jeszcze opłacają za nich władze szkolne egzaminacyjną taksę. Zdawanie egzaminów wydziałowych jest w dodatku dowolnem dla mężczyzn, gdy tymczasem jest ono przymusowem dla kobiet, którym tego rodzaju kursów rada szkolna urządzić nie chce, prawdopodobnie dla tego, by im w ogóle i tak już uciążliwy zawód pedagogiczny utrudnić. Mężczyźni coraz częściej emigrują z zawodu nauczycielskiego, — kobiety w Galicyi nie mają innego pola do pracy umysłowej. Ztąd ogromna hyperprodukcya, fatalne stosunki pod względem płacy, stanowiska i zarazem niesłychanie trudny awans pośród nauczycielek. Przy niezamożności ich, zapracowywaniu się lekcyami, braku czasu, braku podręczników do nauki, takie urządzenie kursów przygotowawczych będzie rzeczą szlachetną rozumną, użyteczną. Jakkolwiek już obecnie siedmiu profesorów obiecało za bardzo niską opłatą uczyć na tych kursach, przecież wydaje się nam rzeczą racyonalniejszą, żeby Stowarzyszenie szturmowało do władz szkolnych dopóty, dopóki takowe nie zezwolą na to, by nauczycielki mogły równocześnie ze swymi kolegami uczęszczać na owe bezpłatne kursa, istniejące obecnie dla mężczyzn.

Wedle projektu stowarzyszenia kandydatki owego kursu przygotowawczego opłacałyby taksę miesięczną 2 złr. od przedmiotu. I na to nie każda się zdobędzie, gdyż jeśli weźmiemy na uwagę, że n. p. w grupie pierwszej, tj. t. zw. filologicznej, wykłada się przedmiotów 5, tedy opłata wyniesie złr. 10 od każdej słuchaczki. W każdym razie bez względu na to, jakich jeszcze reform projekt ten będzie wymagał, przyznać trzeba, że czyni on zadość najgorętszym pragnieniom młodych nauczycielek. Dla uzupełnienia wiadomości o Stowarzyszeniu podajemy, iż liczy ono 332 członków zwyczajnych i 97 wspierających, a cieszy się u ogółu największą z pośród wszystkich stowarzyszeń sympatyą i umie wzbudzić powszechne zainteresowanie swoją niezwykłą żywotnością.

Wszedłszy już raz na tory szkolnictwa, pozwolimy sobie jeszcze powrócić do sprawy, raz już przez nas w poprzednich korespondencyach poruszanej, mianowicie do losu praktykantek szkół lwowskich, które miały być w sierpniu br. usunięte z tutejszych zakładów. Niewiadomo jaki je los spotka, lecz mówią w sferach rządowych, iż władze zamierzają płatne i dłużej pracujące zostawić, a wszystkie inne usunąć. Druga wszakże wersya o tej sprawie powiada, że radni oświadczyli, iż nad każdem wniesionem podaniem będą z osobna konferować i wedle tego, co uznają za stosowne, podanie uwzględniać lub nie. Czy to dobrze, przyszłość okaże, a ja nie omieszkam z całą wiernością donieść o tem Szan. Czytelnikom „Przeglądu."

Sprawą tą w ogóle interesują się bardzo, mówią o niej jeszcze więcej, ale oby tylko cała energia nie zużyła się w słowach, jak to u nas niestety tak często bywa. Pośród nauczycielek z prowincyi znalazła się jedna, która do „Przeglądu lwowskiego" raczyła przesłać list, a w nim nie ubolewając wcale nad losem praktykantek, twierdzi, iż zgotowały go one sobie same niczem nieprzełamaną niechęcią wyjazdu i zajmowania posad na wsi. Nad całym tym pobożnym listem, zgodnie brzmiącym z intencyami rządowemi, można by przejść do porządku dziennego, gdyby nie był iście niedźwiedzią przysługą dla praktykantek. Nie brak mu pewnych drobnych racyi, ale ogłoszenie go w czasach obecnych wygląda co najmniej na złą wolę. My jeszcze raz stanowczo twierdzimy to, cośmy poprzednio uzasadnili przykładami, że po wsiach galicyjskich powinni uczyć przeważnie a nawet wyłącznie mężczyźni. Kto tylko patrzy okiem nie apatycznego, zaspanego widza, lecz okiem obserwatora humanitarnego i psychologa, ten z pewnością oponować będzie przeciw zajmowaniu posad wiejskich przez kobiety.

Dość będzie dla nich miejsca po miasteczkach i miastach, a skoroby tylko podwyższono płacę nauczycieli wiejskich, mężczyźni udawaliby się tam chętniej. Lecz dość już o szkolnictwie, bo czytelników znudzę rozciągłością tematu, chociaż przyznać trzeba, że na długo będzie on kwestyą niewyczerpaną. — Na przyszłość zwrócę się do świata artystycznego, by trochę, po tem patrzeniu w niedolę odetchnąć i z tej szarej ziemi wzlecieć nieco w górę. Sztuka bowiem zawsze pozostać powinna źródłem czystych, duchowych rozkoszy, a dla spracowanych, smutnych, przygniecionych ciężarem życia i jego trosk, prawdziwym balsamem na rany, ukojeniem, wytchnieniem, odżyciem. Więc po deszczu smętków, pesymizmów, bólów, ku tobie sztuko — czarodziejko wyciągniem ramiona i spragnione usta przytkniem do twej kryształowej czary!

J. Aleksota.

Słowianie na wystawie rękodzielniczo-przemysłowej w Dreźnie.

Drezno, dnia 7-go lipca 1896.

Saska wystawa rękodzielniczo-przemysłowa jest dla nas Polaków z bardzo wielu względów sympatyczną. Nie dając na teraz opisu właściwej wystawy, pobieżnie nadmieniam, że odtworzenie starego miasta Drezna, z czasów pomiędzy rokiem 1730 a 1752, a więc za panowania elektorów saskich a królów polskich Augusta II i Augusta III, powinno nietylko Saksończyków, lecz i nas interesować. W oddziale wystawy *„Alte Stadt"* cofnięto pozornie bieg czasu o półtora wieku wstecz. Widzi się n. p. odwach żołnierzy z warkoczami. Mają oni ładownice powiązane prostemi konopnemi sznurkami, pod nosem sumiaste wąsiska, a w chwilach wolnych od warty, którą z całą akuratnością wojskową w różnych punktach miasta zaciągają, robią pończochy z powagą i wielkiem zajęciem. Obok odwachu mieści się szynk z napisem: *„Kurfirstliche priviligirte Schnaps Casino"*, a w tem Kasynie wojacy piją z pończochami w ręku. Widzi się dalej *„Rathhaus"*, pachołków miejskich i areszt miejski z groźnym napisem: *„Zuchthaus"*, który pod surową postacią jest wcale miłym domem poprawy, bo mieści się w nim szynk i piwiarnia. Pachołkowie miejscy od czasu do czasu zabierają i przenoszą w lektykach burzycieli spokoju publicznego do aresztu, a że ten areszt jest miłym spoczynkiem, więc też nigdy nie brakuje amatorów do posiedzenia w Zuchthauzie. Jak tu o nas Polakach nie zapomnieli, niechaj za dowód posłuży i to, że poczciwy *El, Zschöckel. Wirth der Rathskellerei des alten Rathhauses 1730.* daje wyśmienite nasze polskie zrazy, które na jego *„Nahrungszettlu"* (oryginalnym z r. 1730.) figurują pod szumną nazwą: *„Ein polnisch Reichsbaffsteak"*, a kosztują tylko 5 groszy.

Pomijam opis całego starego miasta, chociaż jest on we wszystkich szczegółach bardzo zajmujący, a przystępuję do opisu Serbów, zwanych nie zupełnie właściwie także Łużyczanami, biorących udział w wystawie drezdeńskiej. Udział ten jest rzeczywiście wybitnym, z powodu utworzenia etnograficznej wystawy serbskiej w *Muzeum serbskiem we wsi serbskiej*, a przedstawiał się imponująco w uroczystym pochodzie dziewięciu ludów wchodzących w skład królestwa saskiego. Przedewszystkiem objaśniam, że Słowian tych dla tego nazywam Serbami, bo w ustach ludu samego przeważnie tylko tę nazwę słyszałem, a zresztą z rzeczywistych Łużyczan po niemiecku *„Lausitzer"* (dolni Łużyczanie) nie wielka pozostała już pociecha dla Słowiańszczyzny, gdyż ich niemieckość tak wynarodowiła, że zapomnieli zupełnie języka ojczystego, lub mowy swojej się wstydzą. Niemcy także odróżniają Serbów, których nazywają *„Wenden"*, od Łużyczan, których nazywają *„Lausitzer"*. W uroczystym pochodzie Łużyczanie nie połączyli się z Serbami, lecz szli w osobnej grupie, która w programie nosiła nazwę *„Die Lausitzer"* a grupa Serbów *„Die Wenden"*. Bez zaprzeczenia Łużyczanie są pochodzenia słowiańskiego, wspólnego z Serbami, ale są teraz znacznie mniej Słowianami niż Serbi, podobnie jak inne ludy, wchodzące w skład Saksonii: *Altenburger, Spreewälder, Voigthländer, Winzer, Grossröhsdorfer, Erzgebirger, Ruditz-Michten-Uebigen,* w powodzi czasu zatraciły słowiańskość swoją. Obecnie, tylko Łużyczanie *górni*, tj. *Serbowie*, bronią wszelkiemi siłami swojej narodowości, przechowują swoją mowę ojczystą, swoje zwyczaje i obyczaje narodowe. Z żalem wyznaję, że my Polacy bez porównania więcej wiemy o Dahomeju i Kamerunie, niż o pobratymczym narodzie, znajdującym się jak wyspa pośród morza niemczyzny. Przedstawiamy sobie Serbów jako ludek wymierający, nie mający sił żywotnych, a przecież ludek ten ma niezwykłą odporność na wpływy zewnętrzne i z dnia na dzień bujniej się rozwija.

Naród serbski dla swoich przymiotów cieszy się ogólną sympatyą Saksończyków, opieką króla saskiego i całej rodziny panującej, szczególniejszą zaś sympatyą i protekcyą księżny Matyldy, która włada językiem serbskim i ubiera się w malowniczy strój tego ludu. Przyjemnie było spoglądać, jak ta zacna pani cieszyła się swoimi faworytami, gdy lud serbski przed trybuną, na której znajdował się król z świtą swoją, puścił się w pląsy narodowe, wydając od czasu do czasu okrzyki „Sława" na cześć króla i członków panującej dynastyi. Rozkoszny widok przedstawiała ta wesoła i swobodna młodzież serbska z okolic *Krościcy i Stepego,*

produkująca się swemi narodowemi tańcami jak: *ptaszkiem, grymaskiem, tańcem panny młodej, szewskim tańcem, kukułką itp.*

Mowa narodu serbskiego mało się różni od mowy polskiej, i zdaje mi się, że jest nawet więcej niż czeska do polskiej zbliżoną. Dla mnie przynajmniej, władającego także innemi językami słowiańskiemi, była prawie zupełnie zrozumiałą.

Serbi są bardzo śpiewnym i muzykalnym narodem, a przechowali oni starosłowiańskie instrumenty muzyczne *„gęślę“ i „kobzę“*. To też tak mężczyźni, jak i kobiety serbskie, tworzą tu sobie grupy i śpiewają bezustannie, a grajki w innych znowu oddziałach na gęśli i kobzach wygrywają. Niemcy tej serbskiej narodowej muzyki z przyjemnością słuchają, szczególniej zaś lubią głos kobzy. Tąż samą muzyką grajkowie serbscy produkowali się przed królem i dworem królewskim.

Uroczysty pochód w strojach ludowych, pomimo ulewnego, bezustannego deszczu i przejmującego zimna, był prawdziwie imponującym. Żałuję więc, że w ramach udzielonej mi w „Przeglądzie“ gościnności nie mogę go opisać tak obszernie, jakby na to może zasługiwał.

Nadewszystko podnoszę wyszczególniającą się i zobowięzującą dobroć króla saskiego, który pomimo podeszłego wieku i słabego zdrowia, nie pożałował fatygi i podczas deszczu i zimna przyjmował pochód raz pod baldachimem przed ratuszem w mieście, a drugi raz z trybuny, *„we wsi serbskiej“* przed *„Muzeum serbskiem“* na placu Wystawy, co trwało najmniej dwie godziny. Pochód ten rozciągał się na przestrzeni trzech kilometrów. Bo i co tam w tym pochodzie nie było?! Jeźdzcy na koniach i na osłach, wozy drabiaste z sianem, kosiarzami i grabiarkami, wozy z ogrodowizną, ogrodnikami i ogrodniczkami, wozy z wyprawą panny młodej, pełne skrzyń, pierzyn i poduszek, wozy z winem, winogronami i chodowcami wina, kobiety z dziećmi w poduszkach wracające od chrztu, całe wesele serbskie, górnicy, rękodzielnicy, a nawet maziarze, (rozwożący po wsiach smołę) i najrozmaitsi kramarze wędrowni z tobołami na plecach. Pochód etnograficzny dzielił się na 9 grup, każda grupa miała kilka albo kilkanaście oddziałów, a wszystkie grupy i oddziały ze sztandarami i muzyką. Wszystkie wogóle stroje ludowe reprezentowane w pochodzie były malownicze, a stroje serbskie szczególniej się wyróżniały. Stroje te, mianowicie kobiece, są prześliczne, a lud sam nadzwyczaj urodziwy. Serbi stanowią skończony typ piękna słowiańskiego.

Wprawdzie ostatnią z rzędu była grupa Serbska, ale zato prawdziwie imponująca. Składała się bowiem aż z 17 oddziałów w poważnej liczbie ośm set uczestników. Taką imponującą ilością ludzi i oddziałów żadna inna z poprzednich grup poszczycić się nie mogła.

Przywódzcą grupy serbskiej był *Dr. Ernest Muka*, gorący patryota serbski, kawaler orderu królewsko-serbskiego Sw. Sawy, profesor gimnazyum w Freiburgu, główny inicyator Muzeum serbskiego i grupy serbskiej w uroczystym pochodzie. Drugim pracownikiem nad dziełem serbskiej wystawy ludoznawczej był nauczyciel *Sommer* z Budziszyna. Podnoszę z uznaniem, że nauczyciel Sommer, należący wykształceniem do wyższej inteligencyi, nie powstydził się stroju ludowego i podczas pochodu ubrany był w kostyum narodowy. Któż z naszych nauczycieli, pochodzących z ludu, przywdziałby chłopską sukmanę?

Przypominając czytelnikom „Przeglądu“ artykuły moje p. t. *„Typy germanizatorów górnoszląskich“*, zaznaczam tutaj z naciskiem, że pastorzy i księża oraz nauczyciele serbscy wręcz odwrotnie działają, a w tem staraniu od zachowanie narodowości wszystkie warstwy społeczeństwa serbskiego ich naśladują.

Krótkie to sprawozdanie moje kończę pobieżną wzmianką, że śliczną jest *„wieś serbska“*. Wieś zbudowano nad rzeką (sztucznie utworzoną), po której pływają kaczki i gęsi, a na brzegach pasą się owce i kozy. Wszystkie budynki postawiono z drzewa i pokryte słomą, a całość wywiera wrażenie sędziwej starości. — We wsi tej nie razi żadna sztuczność, — łudzi ona naturalnością swoją. Jest tu chata wiejska z całem wiejskiem umeblowaniem i przyrządami gospodarczemi. Obok chaty w stajni są trzy śliczne krowy i owca, są i kury, a nawet kot siedzi na dymisku i pies leży w budzie. Jest *Karczma serbska*, obok *młyn*, wiatrak, *Kawiarnia i restauracya* wiejska, *hotel* pod nazwą *„Erbgericht“*, *winiarnia*, *folwark serbski*, *studnia* z ocembrowaniem kamiennem, *kuźnia* (w tej kuźni sprzedają gorące kiełbaski), jest *„Chata rybacka“* (tu sprzedają różne zimne przekąski rybne) jest wreszcie *browar wraz z szynkiem*, (tu naturalnie sprzedają wódkę i piwo). Przez wieś od czasu do czasu przejeżdża poczta (*Kurfirstliche fahrende Post z roku 1752.*) Znajduje się na wystawie także urząd pocztowy *„Erbpost Ampt“*. Wóz pocztowy jest to furgon płótnem pokryty. Pocztylion i konduktor paradują w strojach z r. 1752. Furgon mieści w sobie sześciu podróżnych, a że poczta wozi darmo, ma więc zawsze pasażerów. Ha! taką pocztą list wysłany z Drezna do Warszawy jechał sobie z półtora miesiąca.

Wieś serbska cieszy się nadzwyczajną sympatyą i powodzeniem. Od ranado północy krążą w niej tysiące ludzi, muzyka, tańce, śpiewy, gwar, pisk, ścisk, tłumnie i wesoło. Poczciwe drezdenki używają rozkoszy wiejskich, bawiąc się z krowami, owcami i kozami, a Saksończykow rybaczki serbskie wożą łodziami po rzece. I tak wszyscy rozweseleni i zadowoleni o północy dopiero wracają do miasta.

M. Ocetkiewicz.

Walne Zebranie Tow. Kupieckiego w Poznaniu.

Z prośbą o umieszczenie odbieramy poniżej załączony referat:

Walne zebranie Towarzystwa kupieckiego w Poznaniu odbyło się dnia 29-go czerwca r. b. w hotelu francuskim, po zagajeniu którego przez przewodniczącego, dyrektora p. M. Więckowskiego, odczytał sekretarz p. M. Dykier następujące sprawozdanie:

„Powołany z urzędu mego, by zdać panom sprawę z czynności całorocznych Tow. kupieckiego, uważam za niezbędne sięgnąć po za okres istnienia Tow. naszego pod firmą obecną, by uprzytomnić panom genezę powstania, raczej powiedziałbym przeistoczenia od wieków już istniejącej korporacyi, której, jakkolwiek zakres jej działania tylko na miejscowe skazany był siły, w całej pełni przyznać i podnieść należy niespożyte zasługi, położone około kształcenia młodego pokolenia na polu kupiectwa naszego. Wszakże stara ta instytucya wobec coraz szybciej bijącego tętna w życiu narodów, a ztąd wyradzających się nowych potrzeb, tem więcej uledz miała przeistoczeniu w społeczeństwie naszem, spowodowanem koniecznością skupienia sił rozstrzelonych. Potrzebę tę odczuła w całej pełni młodsza generacya, a pierwszym jej krokiem ku wcieleniu myśli swej było wstąpienie w nader poważnej liczbie do korporacyi. Był to jednak bodaj dopiero początek z góry powziętego zamiaru, by całą dzielnicę naszą powołać pod jeden sztandar wspólnej pracy i idei. Zamiar ten znalazł też wkrótce wyraz w zwołaniu wszystkich kupców z całego Księstwa na naradę do Poznania.

Że czyn ten był ogólnie odczutą potrzebą a idea dojrzałą, przekonaliśmy się nie bez wewnętrznej radości z nader licznego udziału, którego owocem był związek kupców, na który złożyło się liczne grono przybyłych braci naszych z tak odległych okolic, bo od Gdańska aż do Wrocławia.

Jednakże nie tutaj jeszcze kres dążeń naszych — silnie odczuta idea łączności objawiła się w gorącem życzeniu, by nowy związek zlał się z starą korporacyą w jedno ciało. Grono mężów, przejętych doniosłością tych życzeń, podjęło się wykonania tego wdzięcznego zadania, które uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem.

Jakkolwiek nie bez łatwo dla nas zrozumiałej przykrości przyszło seniorom naszym rozstać się z uświęconą wiekami nazwą, jednakże śledząc bacznem a doświadczonem okiem zamiary i potrzeby nasze dzisiejsze, z uznania godną skwapliwością zgodzili się na zlanie obu Tow. w jedno ciało i nadanie mu nowej, znanej panom nazwy „Towarzystwa kupieckiego w Poznaniu.“

Odtąd rozpoczyna się właściwa działalność Tow. kupieckiego, a zaznacza się ona na samym wstępie doniosłym faktem, bo przyjęciem na dniu 14 maja 1895 roku nowych ustaw, z których w dalszej konsekwencyi jeszcze dwa nadzwyczajne miały wyniknąć walne zebrania, mające stanowić o kwestyi nie tylko dla samego Tow. nader żywotnej, ale wedle przekonania naszego żywo obchodzącej całe społeczeństwo nasze.

Kwestyą tą było utworzenie biura informacyjnego w łonie Tow. kupieckiego, z którą załatwiły się dwa walne zebrania wprawdzie w znacznym odstępie czasu, bo od 4 grudnia 1895 do 15 kwietnia 1896 r., jednakże na usprawiedliwienie przytoczyć wypada należyte przygotowanie się wybranej ad hoc specyalnej komisyi, której przypadła rola ułożenia znanych panom ustaw. Komisyę tę stanowili pp. Paczkowski, Eichstaedt, Bryliński, Domagalski, Wegner, Sniegocki i Tomaszewski. W tym samym dniu dokonano także wyboru nowego zarządu w składzie obecnym, a więc pp. dyrektora Więckowskiego, M. Dykiera, St. Pfitznera, Paczkowskiego, Przyjemskiego, Sniegockiego, Wegnera, Al. Glabisza, członkowie zaś zarządu zamiejscowi pozostali ci sami, a mianowicie pp. Madaliński, Hulewicz, H. Robiński i Zboralski.

Ażeby jak najszersze koła sprawą biura informacyjnego zainteresować, a przedewszystkiem jak największą pozyskać liczbę członków, postanowił zarząd wysłać odezwę publikowaną w wszystkich pismach, a każdemu z członków przesłaną, z prośbą o kaptowanie członków, a mianowicie o przyjęcie roli mężów zaufania, bez których biuro informacyjne fungowaćby należycie nie mogło.

Niestety dotąd nader szczupłą liczbę chętnych zaznaczyć wypada, a objaw ten położyć jestem zniewolony na karb bodaj osobistych licznych zajęć i trosk, dalekim będąc od przypuszczenia, jakobyśmy dotąd jeszcze trwać mieli w starym przesądzie niewiary w własne siły.

O przewodnictwie w biurze informacyjnem należy mi wspomnieć, że poruczono je tymczasowo sekretarzowi Towarzystwa.

Przechodząc następnie do zdania sprawy z czynności zarządu, który do 23 marca r. b. pod przewodnictwem p. B. Leitgebra,

z chwilą zaś jego ustąpienia pod kierownictwem p. dyr. Więckowskiego aż do obecnej chwili 14 odbył posiedzeń, podnieść należy działalność jego nie tylko ściśle na polu spraw kupieckich, ale zwrócić uwagę i na to, że czując się w całej pełni upoważnionym z racyi poważnego stanowiska swego do stawania w szeregu tam, gdzie tego okaże się potrzeba, wziął udział w obchodzie jubileuszowym 25-letniej rocznicy założenia stałej sceny polskiej w Poznaniu, wysyłając reprezentacyę swą złożoną z pp. W. Brylińskiego, B. Leitgebra i J. Paczkowskiego — a kiedy bracia nasi z Galicyi w gościnę do nas przybyli, wtenczas z gotowością na przyjęcie pożądanych nam i miłych gości 200 marek ofiarował.

Raz jeszcze nadarzyła się sposobność zaznaczenia solidarności z społeczeństwem naszem, a mianowicie przy uroczystości jubileuszowej 25-letniej pracy redaktorskiej, dzisiaj ciężką złożonego niemocą p. Fr. Dobrowolskiego, gdzie Towarzystwo nasze reprezentowali pp. W. Bryliński, B. Leitgeber i St. Pfitzner.

Obok zwykłych spraw bieżących, któremi panów zajmować uważam za zbyteczne, zwrócił zarząd zaraz na samym początku swą uwagę na ważność jak najczęstszego komunikowania się z sobą członków, choćby tylko miejscowych, i w tym celu ustanowił schadzki tygodniowe, którym przewodniczyli członkowie zarządu, — schadzki te jednakże nie cieszyły się spodziewanem powodzeniem.

Już na samym wstępie mego referatu wspomniałem o czynności byłej Korporacyi, zwłaszcza o wspieraniu znaczną kwotą szkoły handlowej — otóż zadanie to zarząd Towarzystwa kupieckiego również gorliwie pełnił, a chcąc także widzieć postępy wspieranej przez siebie instytucyi, uważał za stosowne poprosić kuratoryum szkoły o przyjęcie do grona swego dwóch członków zarządu, na co też kuratoryum ochoczo się zgodziło — początkowo zasiadali przeto w kuratoryum pp. W Bryliński i B. Leitgeber, w końcu zaś pp. dyr. Więckowski i M. Dykier.

Nie wolno mi także pominąć milczeniem wspólnej wycieczki do Rogalina, która ku ogólnemu zadowoleniu udział biorących członków wypadła, jakkolwiek życzyćby sobie należało, by udział w podobnych wycieczkach był ogólniejszy — nader rzadko bowiem nadarza nam się sposobność tak dogodna zbliżenia się w znaczniejszej liczbie do siebie, wzajemnego poznania się, wymiany myśli, odświeżenia umysłu swego, z czego znów świeże czerpiemy siły do dalszej, a w obecnych czasach od licznych trosk bynajmniej nie wolnej pracy.

A teraz nie pozostaje mi już nic więcej, jak tylko wyrazić szczere z serca płynące życzenie, by tak doniosłe cele, jakie sobie Towarzystwo nasze wytknęło, a które nie tylko nam samym, ale całemu społeczeństwu ważne oddać mają usługi, z nowym rozpoczynającym się rokiem bodaj całkowicie się ziściły, a ziszczą się one, jeżeli wszyscy ożywieni jedną myślą uczciwego służenia sprawie przy wzajemnej wyrozumiałości wstąpimy na jedyną nam pozostałą, do celu wiodącą drogę solidarności, nie tylko w sprawach zawodowych, ale także społecznych".

Na propozycye przewodniczącego postanowili obecni sprawozdanie to drukiem ogłosić.

Z wniosków przyjęto jednogłośnie propozycyę przewodniczącego p. dr. Więckowskiego, ażeby odziedziczone po Korporacyi kupieckiej przedmioty, mające cenną wartość, przekazać do aserwacyi Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Na tem walne zebranie obrady swe zakończyło.

Zarząd Towarzystwa Kupieckiego w Poznaniu:

M. Więckowski, przewodniczący. *St. Pfitzner*, skarbnik. *M. Dykier*, sekretarz.
A. Glabisz. R. Hulewicz, J. Madaliński, J. Paczkowski, K. Przyjemski, H. Robiński, Sniegocki, Wegner, Zboralski.

TO I OWO.

Grzeczność dla kobiet.

Kongresy feministek niejednokrotnie już odzywały się z pogardą o uprzejmości mężczyzn dla kobiet, twierdząc że ona jest zbyteczną i szkodliwą, bo niezgadza się z jednej strony z ideą równouprawnienia płci,. z drugiej jest rodzajem karmelka którym mężczyźni hojnie szafują, by tą marną kompensatą wynagrodzić kobiecie odjęcie praw obywatelskich. Kwestyi tej świeżo poruszonej na kongresie paryzkim poświęca B o l e s ł a w P r u s w ostatnim numerze „Kraju" następujące uwagi:

„Człowiek jest zwierzęciem, potrzebującem walki. Walka, wojna jest dla niego takim warunkiem bytu, jak chleb, woda i powietrze. Z tego powodu ludzkość ani przez jeden dzień nie zna i nie chce znać spokoju. Kiedy w Europie milczą armaty, w Afryce i Azyi pękają łby przynajmniej pod uderzeniami pałek. Ledwie w roku 1871 ucichła orężna walka między dwoma najucywilizowańszemi narodami, zaraz wewnątrz nich rozpoczęły się polityczne walki między stronnictwami. Po stronictwach zaczęły przyskakiwać do siebie z pięściami klasy społeczne, po klasach — wyznania, a po wyznaniach — płcie!...

Tak — płcie. Dzieci ze swymi ojcami dawno już znajdują się w rozterce, która dziś uzbraja żony przeciw mężom, a dokładniej... płeć żeńską przeciw płci męzkiej!

Niema co taić: damy wypowiedziały wojnę mężczyznom. których już tak nienawidzą, ale tak nienawidzą, że pogardzają nawet ich... „uprzejmością"!

Od tej pory już nie będziemy... Co to jest nie będziemy?... Od tej pory nawet — nie mamy prawa... ustępować miejsca kobietom: przy wejściu do pokoju, na ulicy, w tramwaju i t. d. Od tej pory nie będzie wolno nam: zdejmować przed kobietą kapelusza, kłaniać się jej, wstawać z krzesła, przepraszać, gdy się ją potrąci...

Kobiety bowiem (od roku 1896, miesiąc i dzień dokładnie nie są znane) kobiety bowiem zaczęły gardzić „objawami męzkiej uprzejmości", przekonawszy się (co prawda bez lekkomyślnego pośpiechu), że „mężczyźni tak hojni w komplementy dla kobiet, są względem nich okrutni w walce o byt"...

Krótko mówiąc, najnowsze stanowisko płci pięknej wobec mężczyzn jest takie:

— Wyrzucam za okno twój cukier, który ofiarowałeś mi dobrowolnie, ponieważ targujesz się ze mną o chleb razowy...

Za pozwoleniem. Przecież można targować się o chleb, czyli zarobek, nie wyrzekając się cukru, czyli uprzejmości. To jedno.

A drugie: czy kobiety mają prawo wyrzekać się i skazywać na zagładę okazywaną im uprzejmość męzką?

„Uprzejmość" jest to pewien zwyczaj społeczny, który ułatwia stosunki między ludźmi i osładza im życie, jak np. jedzenie zupy łyżką ułatwia proces karmienia się i zabezpiecza palce nasze od zamaczania się i gorąca.

I „uprzejmość" więc i „jedzenie łyżką" są to dobre zwyczaje, są to „społeczne skarby", których ludzkość nie powinna wyrzekać się, bez względu na uchwały damskich kongresów.

Dziś „uprzejmość" obowiązuje głównie mężczyznę wobec kobiet. Gdybyśmy ją skasowali, ludzkość utraciłaby jedną z cywilizacyjnych zdobyczy i stoczyłaby się o jeden szczebel ku prastarej dzikości. Czy tego chcą kongresy feministek?...

Ale jutro, w miarę rozwoju cywilizacyi, „uprzejmość" stanie się obowiązkiem wszystkich wobec wszystkich, a wówczas życie ludzkie będzie nieco szczęśliwsze niż jest dzisiaj...

Był czas, że ludzie jadali tylko zupę łyżką, a mięso brali palcami. Gdyby w owej epoce odrzucono łyżkę, może dziś przyjmowalibyśmy pokarmy — zębami z ziemi. Ale cywilizacya zamiast cofnąć się, poszła naprzód i, obok łyżki, wprowadziła widelce, dzięki czemu, nawet przy jedzeniu mięsa nie walamy sobie palców.

Tak będzie i z „uprzejmością męzką dla kobiet" w naturalnym biegu rzeczy; ale nie tak byłoby, gdyby cywilizacyą dyrygowały kongresy nieprzejednanych feministek..."

* * *

Sokoły.

Interesujący feljeton o zlocie wszechsokolskim w Krakowie zamieścił „D z i e n n i k K r a k o w s k i". Z feljetonu tego cytujemy poniżej kilka ustępów:

„Żółtawe trybuny w czworokąt, pełne pstrej publiczności, która faluje ruchem głów, porusza się w miejscu, szumi rozmową jak odległy wodospad, — z pod trybun strzelają w górę słupy młodych sosen z kory obdartych, festonem zieleni połączone, na ich szczytach łopocą w słońcu różnokolorowe pasma chorągiewek; żółtawe trybuny w czworokąt, stopniami ku ziemi zbiegające, a w tych jakby wgłębiających się ramach zielone błonie rozległe, regularnie oświecone słońcem ukośnem, co dobywa kolory, ale ich blaskiem nie zalewa; — tysiąc ciał ludzkich na tym zielonym prostokątnym pluszu, tysiąc plam jednego kształtu, koloru, i w jeden ułożonych deseń: moment ciszy, którą czujesz w oczach, skroniach, w uszach, w żyłach całego ciała, — ciszy w sobie, w powietrzu i w błękicie... za chwilę rozlegnie się komenda. Co dopiero dwa długie, jednako grube, ku sobie pełznące węże zsunęły się po bokach boiska, spotkały w środku boku dłuższego, zderzyły i wyparły na środek; rozległ się głos trąbki, kolumny rozpadły się na oddziały, oddziały na szeregi proste, regularne, długie jak słupy palisad — teraz czekają rozkazu.

Krótki metaliczny głos trąbki a po niej ostra komenda. I nagle stało się coś dziwnego. Łagodny, miarowy takt muzyki wypełnił powietrze, a zgodnie z jej rytmem i kadencyą ogromna żywa masa poruszyła się na całej przestrzeni; tysiąc ciał poczęło ze zgodną dokładnością maszyny wahać się, zwracać, pochylać, prostować i wyginać, tysiąc różowych nagich ramion prężyć się, załamywać, zakreślać zgodne półkola, zdawało się, że jeden kolosalny potwór obudził się na głos muzyki i w cichem półsennem upojeniu drga w blasku słońca i tysiącem macek wywija.

Czujesz, że owłada tobą nowe niespodziewane uczucie, coś podobnego, jak po kieliszku starego, mocnego wina. Jakaś czysto fizyczna radość i siła wypełnia całe ciało i ogarnia je od stóp do głów, czujesz się lekkim, rzeźwym, jak Greczyn, namaszczony przed zapasami oliwą, czujesz się silnym, jak ci wszyscy razem, co teraz w blasku słońca giętkiemi ruchy się kołyszą. Tak działa tłum, tak przyciąga i pochłania jedną wolą kierowana zorganizowana masa...

Idea Sokolska ma swoję głęboką racyę. Jesteśmy zmęczeni życiem, jak cała nasza cywilizacya, która widzi w człowieku znak symboliczny, metafizyczną przenośnię, upiora. Ciało jest tekstem, na którym duch wypisuje swe misterya; jest zmiętym i pożółkłym pergaminem.... Przeszliśmy taką tresurę chrześciaństwa, że ludzkie ciało, ten poemat przyrody, wydało nam się rzeczą pogardy godną, dodatkową. „Jeśli pilnie rozważysz“ — mówi św. Bernard — „co z ciebie ustami, nosem i innemi otworami ciała wychodzi, obaczysz, żeś podlejszego gnojowiska nigdy nie widział“. Człowiek jest śniegiem pokrytą gnojówką — konkluduje inny...

Sokół jest rodzajem renesansu w sztuce życia, bo i życie ma swoję sztukę...

NA WYŁOMIE.

(Bomba. — Coby Niemcy zrobili? — Bestyalność. — Perspektywa przyszłości. — Czego nie przebaczamy nigdy?).

Gdy z początkiem bieżącego tygodnia „Dziennik kujawski“ przyniósł nam wiadomość, że jakiś urzędnik niemiecki, na widok wracających z wycieczki „Sokołów“, wyraził żal swój głośno i dobitnie, że nie ma bomby pod ręką, aby ją rzucić „in diese Gesellschaft“, — pomyślałem sobie, coby to się działo na ziemi i niebie, gdyby tak ową bombą pogrożono Niemcom lub.... swarzędzkim żydom Przypominacie sobie zapewne jeszcze straszną katastrofę w owej 9 kilometrów od Poznania oddalonej Jerozolimie, gdy garstka dzieci polskich pobiła się z czeredą żydziątek o pożyczone na szkólną majówkę i nie zwrócone dość wcześnie zabawki. Gewalt geschrieen! co to za hałas piekielny powstał w całej prowincyi. Niewinną bójkę dzieciaków wydęto do balonowych rozmiarów wielkiej awantury politycznej. Pismom niemieckim uwidziało się natychmiast, że zdala już ciągną pułki kosynierów, całe H. K. T. zatrąbiło na alarm, rozprawiano o smutnych owocach polskiej propagandy, lano łzy krokodylowe nad uciskiem niemiecko-żydowskiej ludności, wzywano rząd, by bronił bezsilnych ofiar polskich rozbójników, — jednem słowem przedstawiono nas jako sforę psów wściekłych, uganiających po całym kraju za germańsko-semickiemi łydkami.

Pamiętacie to wszyscy. A teraz pomyślcie tylko, jakie straszne historye i krew w żyłach ścinające „Berychty“ szłyby z Inowrocławia do niemieckich biur urzędowych i kuźni redakcyjnych, gdyby tak jaki kujawski krzykała pogroził dynamitem spacerującym „Turnerom“ lub żydom w bóżnicy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że poznański „Tageblatt“ zamieściłby wstępny artykuł p. t. „Polnisches Bombenattentat in Inowrazlaw“, a „Berliner Neueste Nachrichten“ opowiedziałyby z największą dokładnością, według jakiego systemu fabrykowane są bomby inowrocławskie, jak wyglądają podziemia, gdzie kujawscy Fenjanie założyli skład nitrogliceryny, i że władze policyjne są na śladach olbrzymiego, po całej prowincyi rozgałęzionego spisku. „Ściślejsze“ zaś „berychty“ urzędowe opiewałyby prawdopodobnie, że bomb wprawdzie nie znaleziono, że jednak są pewne poszlaki tajemnych konspiracyi, a słowo o bombach charakteryzuje dokładnie nastrój ludności polskiej, którą silniej jeszcze w dyby okuć należy.

Takby zrobili Niemcy, gdyby ten pan, co z żalem za bombą się oglądał, był Polakiem, — my jednak nie posiadamy politycznych „Münchhausenów“ i nie mamy talentu do sztucznego plantowania nienawiści narodowej na zagonach naszych. Kilka pism zanotowało sucho ów dynamitowy okrzyk kujawskiego Hakatysty, zaopatrzyło go w oklepany, blady komentarz i... koniec. A przecież należałoby się może nieco bliżej przypatrzeć tej bombie inowrocławskiej, nie dla dla tego koniecznie, by siać awanturnicze anegdoty o niemieckich Ravacholach, lecz dla tego, że jest ona jednem z błyszczących ogniw długiego łańcucha symptomów tej zarazy moralnej którą potworna nauka Hansemanna i spółki zaszczepiła w społeczeństwie niemieckiem.

Szło między lud trzech apostołów znaku H. K. T. i mówiło ludowi temu: „Nienawidź“, — imię ich niebawem stało się legion, a w niemieckich duszach na wschodzie i zachodzie budziły się z przerażającą szybkością najbrutalniejsze instynkty i „zwierzę ludzkie“ kły szczerzyć zaczęło. To słowo o bombie, to nie odosobniony okrzyk fanatyka, nie! To typowe znamie Prusaków najświeższego stempla. Co tamten jeden powiedział, to czują wszyscy nieomal, a mówią głośno tysiące. Nadstawcie tylko dobrze ucha, ziomkowie moi, a usłyszycie na rynkach i ulicach, w knajpach i ogródkach, na wielkich i małych zebraniach, jeszcze jadowitsze, jeszcze więcej spienione pogróżki i hasła wstrętu rozszalałego. Przed chwilą właśnie opowiadano mi o drugiej edycyi bomby inowrocławskiej. Drogą od Szeląga ku miastu szło grono Niemców, należących o ile z pozorów osądzić można, do wyższej inteligencyi. Dyskusya była nadzwyczaj ożywioną, a do uszu referenta mojego dolatywały urywane słowa, jak „P o l l a k e n... mit der Faust d r e i n s c h l a g e n.., s c h l a p p e R e g i e r u n g.... itp.“ — Rozpolitykowane towarzystwo zbliżyło się wreszcie do miejsca, gdzie w nizinach łąk dominikańskich zwożą nasyp pod nową rzezalnią miejską. Niemcy przystanęli, — sprawozdawca mój zbliżył się do nich. Nagle jakiś pan w okularach wyciągnął rękę ku łąkom i na cały głos zawołał: „Gdyby w tym szlachtuzie polskie woły zarzynano, to chciałbym być pierwszym rzeźnikiem!“ Śmiech homeryczny był odpowiedzią na cyniczny dowcip i nikt.... nikt nie splunął. Tak już zatruto ducha niemieckiego, że najpotworniejsze barbarzyństwo nie szarpie, lecz pieści naród Schillerów i Göthów.

Co dalej będzie, nietrudno przewidzieć. Dzieje prześladowań religijnych i narodowych świadczą wymownie, jakie owoce wydaje systematyczne karmienie społeczeństwa nienawiścią. Tłumy, to palny materyał.... Były wypadki, że jedna piosenka niebaczna kończyła się gradem kamieni, brzękiem szyb i okrzykami rannych, — a jakież rezultaty wy osiągniecie, wy, którzy bezustannie budzicie zwierze w ludzie niemieckim. Ten urzędnik z pod Inowrocławia bomby może nie rzuci, ale kto wie, czy on i jemu podobni jutro nie chwycą za kamień.

A gdy tak w około złość krzyżacka szaleje, my dziwnie jesteśmy spokojni, apatyczni i senni. Zdawaćby się mogło, że ten ucisk spotęgowany nas rozgrzeje, skupi i przykazania narodowe w dogmaty zamieni i czyny. Lecz sumienia pozostały miękkie, wyrozumiałe, przebaczające wszystko, — nawet handel ziemią ojczystą dla spekulacyi, nawet iluminacye i chorągwie polskie na świętach Sedanu, nawet przynależność do pruskich towarzystw i udział w ucztach niemieckich. Każdy grzech narodowy zyskuje z łatwością nasze „A b s o l v o“, — a potępiony ten tylko, kto przed „ładem i porządkiem“ czołem nie uderza, kto wszystkich świateł humanitarnych w duszy nie pogasił, kto przez pryzmat kościelnych interesów na dolę ojczyzny nie patrzy, kto niezaspokojony martwą literą zwraca nieraz ku niebu wzrok tęskny i pyta, bada bez końca, — no! i kto wymawiając nazwiska: Darwin, Renan, Zola, — nie doda: łotr, łajdak, złoczyńca!

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Z licznych pretendentów do objęcia dyrekcyi teatru poznańskiego tylko panowie Rygier i Janowski mają szanse powodzenie w staraniach swoich. Rada nadzorcza teatru upełnomocniła panów Bronisława Zychlińskiego i dr. Kusztelana do bliższego rozpatrzenia propozycyi obu kandydatów. — Na jednej ze scen londyńskich, granym jest dramat C a r m e n, osnuty na tle nowelli Prospera Merimée. Dramat ten grany był przed laty dwudziestu w jednym z teatrów bulwarowych; opera Bizeta ze świetnem swem librettem oczywiście pozbawiła dramat prawa bytu. Dopiero obecnie znana artystka pani Olga Nethersole odgrzebała sztukę, aby rozwinąć w roli tytułowej cały zasób realizmu, którym piętnuje grę swoją. Konwencyonalna heroina operowa ustępuje przed wyuzdaną zalotnicą, idącą za doraźnym popędem namiętności. Te wszystkie znamiona natury nieokrzesanej, prostej, podlegającej głosowi krwi, pulsującej szybko w rozgorączkowanych żyłach, oddaje p. Nethersole z realizmem tak silnym, że wrażenie jej gry przechodzi wszystko, cokolwiek widziano dotąd w teatrze. Realizm aktorski tworzył kurtyzany, heroiny miłości lub poświęcenia, ale taka ordynaryjna, trywialna dziewczyna z fabryki, w tej dopiero kreacyi znalazła swój jeskrawy wyraz. Oczywiście jedni zachwycają się tym realizmem, drudzy przeciwko niemu powstają; w każdym razie zgadzają się wszyscy na jedno — jestto gra, jedna z najlepszych w teatrze. — W teatrze Rajmunda w Wiedniu dyrektor Getke, rozpoczynający swą działalność, wystawił komedyę duńską: L u b a r o d z i n a. Rzecz upadła, podaje bowiem obrazy wstrętne, rzeczy zmanierowane i jakby umyślnie malowane kolorem czarnym, a bardzo nieprawdopodobnym. — pisma warszawskie donoszą, że na stanowisko reżysera dramatu i komedyi teatrów warszawskich, zajmowane dotąd przez p. Władysława Szymanowskiego, powołany został p. B. Ł a d n o w s k i, jeden z najdolniejszych i najinteligentniejszych artystów sceny warszawskiej. — I g n a c y P a d e r e w s k i kończy podróż koncertową po Stanach Zjednoczonych i zjeżdża do Anglii na czas pewien. T o u r n é e ostatnie, rozpoczęte od stycznia, przyniosło artyście 900,000 mr. dochodu; przeciętnie zyski z koncertu pojedyńczego wynosiły od 17 do 28 tysięcy mr.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ma. W nadesłanych willanellach nie ma wiosny. Nie dość to pachnie, nie dość śpiewa i nie dość słońca tam świeci.

Biblioteka I. I. Kraszewskiego w Nanticoke. Pa. Nie możemy ani zwolnić Panów zupełnie od prenumeraty, ani jej zniżyć.

Karol S. „'A la grecque“ w architekturze może mieć najrozmaitsze znaczenia, odnośnie do naśladowania różnych form greckiego budownictwa. Przyjaciel Pański jednak ma o tyle słuszność, że najczęściej zwrotu tego używamy na oznaczenie prostokątnego motywu dekoracyjnego, znajdującego się w tak zwanym staroorientalnym ornamencie Mäandra.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.